

Wanda Śliwina, z domu Pawłowska, urodziła się 9 lutego 1891 r. w rodzinie urzędnika kolejowego w Bystrzycy koło Lublina (tej obok Turki i Łuszczowa). Już jako dorastająca panna bardzo aktywnie udzielała się w życiu kulturalnym Lubartowa, zwłaszcza w kółkach teatralnych, o czym pisze m.in. we wspomnieniach (drukowanych w roczniku „Lubartów i Ziemia Lubartowska”, Lublin 1975). Studiowała w Konserwatorium Warszawskim (w latach 1906-1907, zob. biogram w Słowniku biograficznym miasta Lublina, tom II, Lublin 1996). Kariery muzycznej nie zrobiła, a zamążpójście 17-letniej wtedy dziewczyny (towarzyszem życia został Władysław Śliwa) odmieniło pewnie wszystkie jej początkowe plany. Młodzi małżonkowie w poszukiwaniu lepszych dla siebie warunków życia wyjechali w 1915 r. na Ukrainę, ale wybuch rewolucji rosyjskiej zmusił ich wraz z synami do powrotu i osiedli w Lubartowie, gdzie Władysław Śliwa doszedł m.in. do stanowiska burmistrza. Jego żona pisała powieści, opowiadania, wiersze, popularne prace historyczne (m.in. na temat Lubartowa), utwory sceniczne, zajmowała się tańcami i pieśniami, była wydawcą i autorką lokalnych pisemek, zamieszczała też korespondencje i teksty satyryczne w rozlicznych gazetach i czasopismach lubelskich oraz ogólnopolskich. Jej twórczość nie była najwyższych lotów, ale w okresie międzywojennym stała się autorką nadzwyczaj popularną. Początkowo podpisywała swoje utwory jako Jagienka z Lublina albo po prostu Jagienka. Pseudonim był wyrazem jej fascynacji bohaterką Sienkiewiczowskich *Krzyżaków*. Później występowała zwykle jako Wanda Jagienka Śliwina. Zajmowała się też aktywnie pracą społeczną i charytatywną na lubartowskim podwórku.

Po II wojnie światowej zdążyła opracować i wydać *Dzieje teatru w Lublinie* oraz *Legendy i opowiadania lubelskie*, po czym - w 1949 r. osiedliła się z rodziną we Wrocławiu i o jej twórczości zrobiło się cicho.

Teksty *Legend i opowiadań lubelskich* drukowane były najpierw na łamach „Życia Lubelskiego”. Zaczęło ukazywać się ono z końcem marca 1947 r. (wychodziło do 1957 r.) jako mutacja „Życia Warszawy”. Na początku miało tylko jedną stronę na aktualności z Lublina i regionu, ale po paru miesiącach zyskało drugą stronę, a że szefem redakcji był wtedy dr Stanisław Papierkowski, który przywiązywał wagę do tematyki związanej z historią i tradycjami regionu, więc różnorodne materiały z tego zakresu na stałe zagościły w piśmie; wśród nich także nadsyłane przez Wandę Śliwinę. W 1948 r. jej drukowane w gazecie utwory, najpierw w dużej mierze poświęcone samemu Lublinowi, opublikowano w kilkudziesięciostronicowym tomiku *Legend i opowiadań*, a w parę miesięcy później wyszedł drugi tomik, szerzej nawiązujący już do wątków związanych z całym regionem, zwłaszcza z terenami nadwiślańskimi i okolicami Tomaszowa Lubelskiego.

Od czasu pierwszego wydania te teksty Śliwiny nie były wznawiane. Ciągłe są poszukiwane w lubelskich bibliotekach przez młodzież szkolną i czytane równie chętnie, co np. *Legendy chełmskie* (Lublin 1969), *Opowieści-niedźwiedziego grodu* (Lublin 1979), *Niezwykłe dzieje pięknej Anny* (Lublin 1978) czy *Miłość silniejsza niż śmierć* (Lublin 1988) Longina Jana Okonia (który tematyce regionalnej poświęcił szczególnie wiele uwagi), *Opowieści znad Piwonii* Apolinarego Nosalskiego (Lublin 1978), *Czarna róża* Krystyny i Ryszarda Kornackich (Biała Podlaska 1993), czy wreszcie *Wieki. Interludia lubelskie* Heleny Platty (część I - Lublin 1962). Ich baśnie,

legendy, opowieści i podania lokalne prezentowane są w dobrej, często wyszukanej formie literackiej, opartej niekiedy o oryginalne i ciekawe pomysły. Utworom Śliwiny brak z pewnością tych zalet, a często uderzają pewną naiwnością, górnolotnością ujęcia i obrazowania oraz emfatycznością języka, co dzisiaj może razić, chociaż niekiedy ma też niekłamany urok. Ale są i rozliczne plusy: teksty opowiadają o zdarzeniach na ogół zwięźle, ich istotę prezentują wprost, bez jakiejś zawikłanej fabularnej obudowy, ukrywającej w istocie rzeczy prościutką treść i takąż pointę.

Śliwina ma inny jeszcze atut: przytoczyła mianowicie opowieści, podania i legendy szczególnie popularne w regionie i zebrała prawie wszystkie znane o samym Lublinie. Odnotowała m.in. legendę z kroniki Jana Długosza o śnie Leszka Czarnego, pokonaniu Jaćwingów i ufundowaniu kościoła św. Michała w miejscu owego dębu, pod którym władca odpoczywał. Pomięła jednak legendy związane z pochodzeniem nazwy miasta (dwie opowiastki o pochodzeniu nazwy napisała Helena Platta w *Wiekach*), zanotowane przez znakomitych naszych kronikarzy Wincentego Kadłubka i Marcina Kromera. Przy tej sposobności warto je w skrócie przypomnieć, bo obie są oryginalne i piękne.

Nieoceniony Wincenty Kadłubek (ok. 1150-1223) dowodzi, że jeden z legendarnych Piastów, Leszek III, żył w wielkiej przyjaźni z Juliuszem Cezarem. Przyjaźń była tak wielka, że Juliusz oddał Leszkowi za żonę swoją siostrę Julię. Ślub odbył się w Akwizgranie, a Julia otrzymała w posagu Bawarię. Aby upamiętnić w Polsce imię swoje i brata, założyła dwa miasta: Juliusz i Julin. Sielanka trwała jednak krótko, bo Leszek poróżnił się z Cezarem, a Julię wypędził (przedtem powiła mu jednak syna, Popiela I. Jej następczyni i nowa królowa, Luba, chciała zatrzeć ślady niedawnej rywalki i czym prędzej nazwy obu miast urobiła od imienia własnego i Leszka: tak powstał Lublin i Lubusz.

Marcin Kromer (1512-1589), także biskup, jak i Kadłubek, twierdzi w swojej kronice, że nazwa miasta pochodzi od ryby - lina. Otóż gród na wschodzie kraju nie miał nazwy i zjechał doń książę, aby to zaniedbanie naprawić. Spory o nazwę przeciągały się jednak nazbyt długo i władca postanowił, że rozsądzi o niej los: ryba, która trafi najpierw do niewodu, nada nazwę grodowi. Złowiono jednocześnie dwie ryby i powstał dylemat: szczupak lub lin? Książę uznał jednak, że szczupak jest wilkiem rzeczonym, nie godzi się więc zwać od niego miasta, bo jeszcze i mieszkańcy mogliby w obyczajach stać się podobni szczupakowi. Lin zaś ryba łagodna, ale nazwę ma niezupełnie odpowiadającą dużemu grodowi. Dołączono więc do ryby spójnik z owego rozważania: szczupak lub lin i tak powstał Lublin.

Ale powróćmy do przerwanego wątku. Dotychczasowe uwagi zawierają dostatecznie dużo argumentów przemawiających za wznowieniem *Legend i opowiadań lubelskich* Wandy Jagienki Śliwiny. Wydawcy zdecydowali się na obszerny wybór. Generalnie biorąc, nie rezygnowali z legend i podań, a także z opowiadań - o motywach ludowych, które niosą ciekawsze informacje etnograficzne. Przede wszystkim pominęli teksty odwzorowujące jakieś wydarzenia autentyczne (np. *Powitanie wojska w Puławach Czartoryskich*, *Śpiewak z Czarnolasu w Lubelszczyźnie*), o niewielkich walorach poznawczych, a także podejmujące tematykę współczesną autorce. Postanowili też zaprezentować teksty w wersji wydania z 1948 r., do których wprowadzono tylko niezbędne, zgodne z obecnymi wymogami pisowni, zmiany

ortograficzne i interpunkcyjne. Nie dokonywano natomiast zmian redakcyjnych i skrótów (poza skorygowaniem oczywistych pomyłek), chociaż niekiedy byłyby one uzasadnione: autorka ma np. tendencję do wzbogacania utworów o szereg zbędnych informacji czy dygresji. Uznaliśmy jednak, że jest to jej sposób opowiadania i nie ma potrzeby go zmieniać. W koniecznych przypadkach wprowadzono objaśniające przypisy.

Jak każdy wybór, i ten może być dyskusyjny. Zrezygnowano m.in. z „życzeniowego” raczej tekstu *Podanie o Majdanku* o tematyce obozu koncentracyjnego oraz dotyczącego 1939 r. pod tytułem *Ten, który bombę złapał*. Ostatni nawiązuje do autentycznych wydarzeń z 9 września 1939 r. i bombardowania miasta przez hitlerowskie samoloty, przytacza też imię i nazwisko woźnego z lubelskiego ratusza, Jana Gilasa. Wtedy właśnie niewybuch bomby przebił strop budynku. Jan Gilas próbował bombę usunąć i podnosząc wielki ciężar zmarł na serce (zdarzenie to dokumentuje min. fotografia oraz relacje świadków). W opowiadaniu autorki w temat wprowadza dość naiwny wstęp, który ma uzasadnić fakt, że to woźny łapie oburącz tę bombę, nie daje jej wybuchnąć i sam ginie... Zrezygnowaliśmy z tej opowiadania zdając sobie jednak sprawę, że stanowi świetny przykład, jak blisko czasem od autentycznych zdarzeń do przetworzenia ich w legendę... Może w tym właśnie tkwi urok i jednocześnie walor każdej legendy.

Wybór wzbogacają ilustracje ze znanego *Album lubelskiego Adama Lerue*, wydanego w 1857 r., dwa rysunki Władysława Barwickiego (1865-1933), bardzo popularnego na przełomie wieków portrecisty lubelskiego, oraz reprodukcja głośnego obrazu z kościoła Dominikanów Pożar Lublina w 1719 roku, z którego też pochodzi powiększenie renesansowego gmachu ratusza, w którym mieścił się Trybunał Koronny. Charakter oryginałów decyduje o nie najlepszej jakości reprodukcji.

Legenda o kamieniu nieszczęścia

Jedną z osobliwości lubelskich, plac przy ul. Rybnej, jest byłym królestwem kamienia nieszczęścia, o którym krąży makabryczna legenda. Pochodzi on podobno ze Sławinka pod Lublinem.

Na początku XV wieku „urzędował” na placu Bernardyńskim, dawnym placu straceń, jako podstawa pod pień dębowy, ociekający krwią skazańców. I zdarzyło się raz, że kat ściął głowę niewinnego z takim rozmachem, że pień rozłupał się na połowę, a topór wyszczerbił w kamieniu głęboki wyłom.

Widocznie przytoczył ktoś kamień na plac przy ulicy Rybnej. Pewnego dnia szła tędy kobieta z dwojakami, niosąc dobry obiad mężowi pracującemu przy budowie. W pobliżu kamienia nieszczęścia potknęła się i upadła, rozbijając garnki na jego powierzchni.

Zapach kraszonej zupy przynęcił kilka wałęsających się psów, które rzuciły się na żer, oblizywały kamień skrupulatnie i - wszystkie padły nieżywe. Widok martwych zwierząt wywołał trwożną sensację, a plac otrzymał nazwę Psiej Górki.

Z czasem przekonali się ludzie, że dotknięcie kamienia ręką lub bosą stopą wytwarza kontakt między nim a człowiekiem, sprowadzając nieszczęście.

Złakomił się na kamień pewien piekarz i użył go do pieca budującej się piekarni. Naturalnie okoliczności złożyły się w ten sposób, że śmiałek spalił się w tym piecu, zamknięty w nim przez własną żonę i adorującego ją czeladnika.

Zły kamień wrócił na Psią Górkę i oślepił murarza, który w zawziętości uderzył go młotem.

Ponieważ na tym placu przystąpiono do budowy kościoła Trynitarzy, sumptem Mikołaja Łosia z Grodkowa, przyszło ludziom na myśl, aby po wybudowaniu murów wtoczyć kamień do kruchty kościoła i tym sposobem sparaliżować jego szatańską złośliwość. Ale krew niewinna ciągle szukała pomsty za pośrednictwem martwego mściciela, który wchłonął ją w siebie przed wiekami. Toteż stało się, że pomimo wzniesienia budynku i dzwonnicy kościół nigdy nie został kościołem, bo brakło funduszy na dokończenie wnętrza, a mury te w kilkadziesiąt lat potem zakupił Pawęczkowski i usunąwszy kamień, przerobił gmach na pałac dla siebie, który dotąd stoi na Psiej Górce.

Kamień nieszczęścia po wybudowaniu soboru prawosławnego na placu Litewskim znalazł się obok niego i spowodował śmierć żołnierza, który spadł z dzwonnicy miażdżąc sobie czaszkę na powierzchni złośliwca. Władze rosyjskie, obawiając się o całość soboru w takim sąsiedztwie, eksmitowały kamień za miasto. Przy budowie prochowni dostał się on jakimś sposobem do fundamentów. Ogólnie wiadomo, że w roku 1919 prochownia wyleciała w powietrze.

Dwadzieścia lat przeleżał kamień bez żadnych efektów.

Ostatnio znalazł się na rogu uliczki Jezuickiej, wprost Wieży Trynitarzkiej. I przyszła straszna wojna. „Skrzydłaci” Niemcy rozlatali się nad Lublinem zrzucając miażdżące bomby. I oto kamień okazał znowu fatalność swojej obecności, bo najwięcej ofiar w ludziach poniosła „goszcząca” go uliczka Jezuicka i biedna katedra, na którą spozierał przez wylot Wieży Trynitarzkiej. Eskadra zataczała równe, odmierzone

koliska, ale bomby padały głównie w promieniu działania kamienia nieszczęścia, podtrzymując legendę i dodając do łańcucha jej faktów nowe, z potwornych wspomnień ukute ogniwo.

Obecnie ten prześladowca ludzkości spoczywa dalej na rogu zniszczonej uliczki i szczyry do przechodniów szczyrbę po katowskim toporze.

Podanie o Maleparcie

Lublin - trybunalski gród! Przeżywał on wiele w związku z zaszczytem goszczenia w swych murach najwyższej instancji sądowej... Procesy, walki złych namiętności z prawem i sprawiedliwością... Bo ludzie zawsze i wszędzie, we wszystkich wiekach i na każdym miejscu są tylko ludźmi, skłonnymi bardziej do złego niż do dobrego.

Kraszewski z właściwą sobie plastycznością opisał w powieści „Maleparta” zgiełk i ruch na lubelskim Rynku przed trybunałem w czasie sądów: *„ Stańmy przeciw głównej budowie, przeciw gmachowi trybunalskiemu i spojrzymy dokoła. Co za zgiełk, wrzawa, hałas i plątanina. Z Krakowskiego Przedmieścia, z Grodzkiej ulicy, z Dominikańskiej ciągną na sądy karoce, kolasy, taradajki, konni i pieszaki. Deputaci, mecenas, arbitrowie, ciekawi, przekupnie, Żydzi, mieszczanie, mieszczki, pachoty trybunalscy i miejscy, kozactwo i rajtary panów sędziów, służba, dworzanie...”*

O Maleparcie żyje podanie wyzyskane nie tylko przez Kraszewskiego. Zapisał je także Wilczyński w swoich „Ramotach”.

Otóż ten Maleparta, nieświatny protoplasta lubelskiej palestry z czasów Stanisława Augusta, brał każdą nieuczciwą sprawę i każdą wygrywał, wychodząc z założenia, że dla osiągnięcia intratnego celu wszystkie środki są dobre, aż do fałszowania dokumentów włącznie. Jego klienci tryumfowali nad sprawiedliwością, a łzy i przekleństwa pokrzywdzonych spadały na mecenas.

Ale przyszedł i na niego kres. W podeszłym wieku zrobił widocznie obrachunek całego swego życia i - struchlał. Ani jednego dobrego uczynku, a tyle krzywdy ludzkiej... Głośne były wtedy zjawiska na ścianie zawieprzyckiego zamku. Dopowiadali sobie ludzie o pokutującym dziedzicu... Maleparta nie zamordował wprawdzie nikogo, ale jego procesy więziły niewinnych, zabijały moralnie sprawiedliwych, wydziedziczały potrzebujących... Były nieskończonym szeregiem złej woli za Judaszowe srebrniki.

Więc przestraszył się jak ongiś dziedzic Granowski z Zawieprzyc. Zerwał z dotychczasowym trybem życia, usunął się od świata. A czując w swoim sumieniu, że ciężkie winy życia stawiają go niedaleko od tamtego okrutnika, wybudował sobie chatkę w jarze przy drodze wiodącej do Zawieprzyc i rozpoczął, pod innym nazwiskiem, żywot pokutującego grzesznika.

Tam też w tej chatce ubogiej dokonał żywota jako ojciec Jan i został pochowany obok niej, w mogile przez lud usypanej i krzyżem św. naznaczonej. A tyle miłosierdzia i dobroci okazywał w swym życiu pustelniczym wszystkim odwiedzającym go biedakom, że śmierć jego była opłakiwana przez rzesze i następnie rzesze te w każdą rocznicę jego zgonu odbywały pielgrzymki do grobu ojca Jana, aby polecić się jego pamięci u Boga.

Sąd diabelski

Podanie o sądzie diabelskim to fragment z trybunalskiego życia Lublina. W roku 1637 Trybunał Lubelski wydał wyrok krzyczący niesprawiedliwością w procesie ubogiej wdowy z magnatem. Rozżalona w swojej krzywdzie kobieta zawołała wtedy z uniesieniem, że gdyby ją sądzili diabli, a nie ludzie (w obliczu krucyfiks), to by jeszcze sprawiedliwszy wyrok podpisali.

Tej samej nocy pisarz trybunalski usłyszał ruch pojazdów przed gmachem, a po chwili weszli na schody nieznajomi sędziowie w pąsowych barwach lubelskich i kazali sobie otworzyć salę sądów. Po czym obsiedli stół prezydialny i wywołali przegraną sprawę wdowy, a jeden z nich stanął, jako obrońca, za kratkami. Wtedy przestraszony pisarz zauważył, że spiczaste rysy i złe oczy sędziów mają w sobie coś szatańskiego, a ich krucze włosy maskują ukryte rogi. Istotnie byli to szatani, których Bóg Ukrzyżowany zesłał na powtórne osądzenie sprawy.

Zaczęło się rozpatrywanie akt. Obrońca wysuwał dane, oświetlające przychylnie pretensje magnata. Popłynął wodospad wykrętnych, ozdobnych słów. A kiedy przebrzmiał ich kuszący dźwięk, sędziowie udali się na naradę.

I oto pisarz struchlał usłyszawszy wyrok na korzyść wdowy, a wtedy Chrystus Trybunalski zapłakał krwawymi łzami nad złością ludzką od szatańskiej gorszą i odwrócił głowę.

Przewodniczący na znak swojej bytności położył na stole rękę, zostawiwszy jej ślad, i opuścił Trybunał z całym diabelskim gronem.

Nazajutrz wiadomość o nocnej wizycie w Trybunale rozbiegła się po mieście, gromadząc na Rynku tłumy trwożnie ciekawych, a niesprawiedliwi sędziowie, śpiesząc na nową sprawę, połamali nogi na schodach trybunalskich w oczach urągającego im tłumu. Widząc w tym dopust obrażonego Boga, zgromadzeni wezwali kapłanów i cudowny krucyfiks został procesjonalnie przeniesiony do kaplicy w kolegiacie, gdzie odbyło się uroczyste przebłagalne nabożeństwo.

Gdy po upływie dwustu lat kolegiatę św. Michała przeznaczono do rozbiórki, pamiętny krucyfiks zawitał do katedry i gości tam dotąd w zacisznej kaplicy Przenajświętszego Sakramentu, w otoczeniu mnóstwa wdzięcznych serc ludzkich wszystkich czasów, przypominając wiernym dawny cud w trybunalskiej sali sądu.

Zabytkowy stół z wypalonym śladem diabelskiej ręki zachował się dotąd i bywa oglądany przez wycieczkowiczów na dawnym swoim miejscu, w trybunalskim gmachu.

Stół z wypaloną „czarcią łapą” znajduje się w przedsionku Muzeum Lubelskiego na Zamku.

Legenda o Leszku Czarnym

Lublin w dawnych wiekach był punktem częstych napadów Rusinów, Litwinów, Jadźwingów, Tatarów i z tego powodu musiał być ustawicznie w pogotowiu do obrony.

Za książęcego panowania Leszka Czarnego Lublin skupiał się dokoła kościoła św. Mikołaja na Czwartku jako gród, a zamek grodowy, drewniany wówczas, posiadał załogę i urzędnika z ramienia księcia.

Obecne Stare Miasto powstało znacznie później i wtedy było wolną przestrzenią, ze świętym gajem, tradycyjnie z czasów pogańskich przechowanym.

Gdy w roku 1282 Jaćwingowie raz jeszcze napadli na Lublin, niszcząc go ogniem, mieczem i rabunkiem, Leszek Czarny, odbywający wówczas sądy w Krakowie, pośpieszył na jego ratunek. Ale zanim przybył na miejsce, napastnicy zbiegli, a książę - wahając się między pościgiem a powrotną drogą do Krakowa - rozkwaterował się ze znużonymi wojownikami w świętym gaju na stoku wzgórza i zasnął pod dębem.

I oto nawiedził go proroczy sen.

...Gdzieś z przestrzeni, jakby po tęczowym pomoście łączącym niebo z ziemią, zjawił się przed nim Archanioł Michał na świetlistym koniu i podał mu miecz.

Rycerski książę zerwał się ze snu, pobudził odpoczywających wojowników, opowiedział im swoje widzenie, a zrozumiałwszy je jako radę bitwy i przepowiednię zwycięstwa, puścił się w pogoń za Jaćwingami i rozbił ich doszczętnie.

Wtedy wdzięczność dla Boga i jego wysłannika pobudziła Leszka Czarnego do złożenia godnego wotum. Dla tego celu kazał ściąć na znacznej przestrzeni drzewa świętego gaju i ufundował wspaniały kościół pod wezwaniem św. Michała, zachowawszy pień świętego dębu Światowida, pamiętny proroczym snem, pod ołtarz Chrystusowy.

A piękny to był kościół: wczesnogotycki, trójnawowy, z długim prezbiterium, z nawą poprzeczną i dwoma absydami. Z czasem stał się on głównym punktem miasta i przetrwał prawie sześć wieków, bo dopiero w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia został rozebrany jako zagrażający bezpieczeństwu publicznemu.

I oto okazało się po rozebraniu go, że pod głównym ołtarzem tkwi nie zniszczony pień legendarnego dębu, z którego zrobiono pasyjkę pół metra wysoką dla skarbcza katedralnego, a ułamki przesłano miłośnikowi Lublina - Kraszewskiemu.

Obecnie oglądamy już tylko fundamenty tej wspaniałej kolegiaty, staraniem konserwatorów zabezpieczone, a przez bezmyślnych wyrostków iariatwę marnowane. A ci, którzy myśleć umieją, opowiadają sobie legendę o Leszku Czarnym, starając się wywołać z przestrzeni świetlistą postać Archanioła z mieczem.

Udokumentowane jest istnienie na Czwartku nieprzerwanego osadnictwa w wiekach VII-IX a następnie od XI wieku, natomiast nie natrafiono tam na ślady grodu.

Skrzynia złota u bernardynów

Z kościołem pobernardyńskim św. Pawła na dawnym placu straceń wiąże się legendarne podanie.

Grunt pod budowę kościoła i klasztoru dał rajca miejski Jakub Kwanta, a fundusze na wzniesienie murów - szlachta i mieszczenie. Był to wiek XV. Za miastem, na południowym stoku pagórka, założono fundamenty pod nową świątynię. Wówczas to „kamień nieszczęścia”, ten, na którym skazańcom ucinano głowy toporem, został usunięty i przestał być makabrycznie użytecznym, a dokonywanie wyroków nad złoczyńcami przeniesiono na Wieniawę do baszty ośmiobocznej.

Budowa kościoła napotykała na trudności finansowe, ponieważ składali się na nią mieszczenie i szlachta uboższa. Aż wreszcie przyszedł moment krytyczny: zabrakło pieniędzy. Kwestarze nic już więcej wyciągnąć z ofiarodawców nie mogli, a o pomoc do magnatów postanowiono nie zwracać się.

Smutek osiadł w sercach pobożnych ludzi. Na szeroką skalę zakrojone dobre dzieło utknęło na martwym punkcie, na tym punkcie, który się zwie bezsilnością. Zastój w budowie omawiali wszyscy, którym ta sprawa była bliska: i więksi, i mniejsi, i uczeni, i prości.

W ratuszu miejskim, a obecnym gmachu Trybunału, który miał wtedy jedno piętro i zewnętrzne schody, a mieścił w sobie władze miejskie „z wójtem, radą, ławą, archiwum i skarbcem”, kłopotali się również o sprawę budowy kościoła pachołkowie miejscy, w ratuszu na parterze mieszkający.

- Żeby tak Pan Bóg zrobił jaki cud! - mówili wzdychając.

- Żeby tak miłosierna a bogata osoba, sama z siebie, nieproszona, dopomogła, to byśmy mieli oprócz Dominikanów i kolegiaty, jeszcze jeden kościół, i to nie byle jaki, za miastem położony, z murem obronnym dokoła. A tak, zmarnują się nie nakryte mury i tyle kosztu pójdzie na marne.

Nadeszła noc, letnia, parna noc. Z daleka zaczęły dochodzić pomruki rodzącej się burzy. Gwarzącym smętnie pachołkom sen odlatywał. Siedzieli w oknie, patrząc na przeciwległe kolorowe mury pięknego Rynku. Wtem zagrzmiało silnie. Lunął deszcz. Strumienie wody zaczęły lać się przez wysokie, nad dachem umieszczone wodorzygi. W okamgnieniu ulica pokryła się szumiącą falą spadłej z deszczem rzeki. Zygzaki piorunowe przecinały skrawki widzianego spośród kamienic nieba ognistymi wężami. Echa grzmotów odbijały się wielokrotnie w zamkniętych murach. Częste błyskawice na wpół oślepiały patrzących. Wiatr gwizdał i szalał, z mocą piekielną pobratany. I nagle - nowa błyskawica ukazała nowe zjawisko: przed ratuszem, łbami do wejścia, stały dwa ukraińskie woły zaprzężone do wozu.

Pachołkowie przelękli się tą diabelską jakby sztuczką, ale opanowawszy się, przed ratusz wybiegli.

- Hola! Woźnica! Kto tam? - zaczęli wołać. Odpowiedziało im milczenie. Tedy wyczekawszy na błyskawicę, ujrzeni na wozie skrzynię sosnową, jednolitą, bardzo ciężką.

- Przed ratuszem stoi, dla miasta widać przywieziona! - orzekli, ale najrozważniejszy z nich pobiegł po rajców i wójta.

Wspólnym rozkazem przeniesiona została skrzynia do sieni ratusza. Tu rozpoczęła się narada:

- Skąd? Co? Jak?

Bramy pozamykane, mury miejskie całe, od Bramy Krakowskiej most zwiedziony, od Bramy Grodzkiej - także. Przez fosę pełną wody, od grodowego Zamku do bramy biegnącą, woły prze płynąć nie mogły z wozem, ciężarem i bez woźnicy ani przedostać się przez zamkniętą bramę.

Gdy się tak już nadziwowano, padł rozkaz do pachołków:

- Otworzyć skrzynię!

Stuknęły młotki i cęgi, zadźwięczała sztaba żelazna do podważenia wieka użyta! I - o dziwo! O wielkie dziwo świata! Skrzynia była pełna złota i kosztowności, a na wierzchu spoczywał list zaadresowany do Jakuba Kwanty.

Nie było go wśród rajców. Zdyszany pachołek pobiegł go obudzić i do ratusza sprowadzić.

I oto drugie wielkie dziwo.

Wzruszony i przejęty rajca oświadczył zebrany po przeczytaniu listu, że zawartość skrzyni jest bezimiennym darem na dokończenie budowy kościoła i klasztoru dla bernardynów.

- Cud, cud boski! - zaczęli szeptać rajcowie. A pachołkowie z płaczem na ziemię upadli.

- Cud, Cud! - powtórzyli, krzycząc radośnie a trwożnie. Ktoś wybiegł przed ratusz - woły z zaprzęgiem zginęły bez wieści. Nowe zdziwienie, nowy lęk i - może by się wyrzekli złota z tego strachu, gdyby nie samoperswazja, że dar na wzniesienie kościoła nie może być złożony przez moce złe.

Tym sposobem kościół i klasztor doczekały się bogatego wykończenia aż do murów obronnych włącznie i pięknego wnętrza. Tajemnicza skrzynia jest do dziś dnia przechowywana w zakrystii kościoła, a uczestnicy wycieczek krajoznawczych ciekawie ją oglądają.

Góra, przy której straszy...

Piękna, wyniosła, żyzna, z resztką drzew u skraju, góra, „przy której straszy”, była kiedyś w gęstym lesie, ciągnącym się od Opolą do Kluczkowic. U jej stóp biegnie - wywijana w elastyczne zakręty - szosa, przed nią mieni się w blaskach słońca staw Barnasiem zwany, ze zgraną orkiestrą bąków i żab, na lewo bieli się w lesistym parku pałac kluczkowicki, a horyzont zakreśla ciemna, bliska smuga świerkowo-liściastego lasu. Na górze rośnie zboże, kłaniając się wiatrowi, który czesze i rozgarnia kłosa, jakby każdemu z nich szeptał do ucha: - Rośniesz na strasznej górze... Rośniesz na strasznej górze... A czy wiesz, że kiedyś...

To było bardzo dawno... Parę setek lat. Polski magnat, książę Lubomirski, niegdyś właściciel klucza dóbr w Lubelszczyźnie, zapragnął wybudować na tej górze myśliwski zameczek dla rozkoszy polowań w swoich pięknych lasach. I zjeżdżali do zameczka znakomici goście, grały trąbki, kręcili się łowcowie i strzelcy dworscy, sunęły leśnymi drogami sanki bezdzwonne, charczały odyńce, uciekały w susach lotne sarny, migały liściaste ogony pierzchających lisów, a leśne ostępy grały pieśnią polowania.

Żona magnata, księżna Franciszka z Potockich Lubomirska, pragnąc, aby liczne grono gości nie tylko o łowach, ale i o Bogu pamiętało, wzniosła w pobliskim Wrzelowcu kościółek mały a piękny, w kształcie rotundy wybudowany, wielką, formną kopułą nakryty, więc przywieziony na okres polowania kapelan niósł pociechę religijną magnackiemu zgromadzeniu, które tęgo piło, tęgo biło, ale umiało w proch uderzyć czołem przed Bogiem.

I minęły te czasy, jak wielokrotnie mijające sny złe i dobre. Opuszczony zameczek popadł w ruinę, tylko resztką budulcowego kamienia i lochy rozległe jego istnienie przypominają.

Na gruzach magnaterii przystanęła myśl „szarego” człowieka i skonkretyzowała się w pytaniu: - Może w głębi przechował się zakopany skarb?

Ten i ów rozpoczął poszukiwania, kopiąc w fundamentach, ale była to praca syzyfowa, bo co do wieczora odkopano, nazajutrz zasypało się samo.

Pewien mężczyzna, cierpliwy i uparty w pracy, dokopał się drzwi żelaznych. Ale już zapadała noc, więc tylko jak mógł umocnił dokonaną robotę i odszedł. Nazajutrz o świcie wrócił z narzędziami do otwarcia tych drzwi, ale zastał je przywalone ziemią. Niezrażony podjął pracę na nowo, a gdy jego szpadel zadzwonił po raz wtóry o drzwi żelazne, ukazał mu się jakiś duch i powiedział, że jeśli w tym miejscu zostanie odprawiona msza św., a ksiądz nie zapomni żadnego z potrzebnych do ceremoniału przedmiotów, to więcej przeszkód w odkopaniu skarbów nie będzie.

Myśl o przewidywanym bogactwie przejęła szarego człowieka dreszczykiem rozkoszy. Ubłagał przeto księdza, zamówił mszę św. za dusze pokutujące w czyśćcu i zeszedł na nabożeństwo w podziemia. Żelazne drzwi czekały nie zasypane. Zajechał ksiądz z obsługą o umówionej godzinie, sporządzili ołtarzyk, dokonała się bezkrwawa ofiara, ale ministrant zapomniał kropidła do wody święconej, więc ksiądz ręką poświęcił miejsce. Tym sposobem warunek ducha został wykonany nie w całości i

nocą zarwała się ziemia, grubą, ciężką warstwą zasypując czarodziejskie drzwi skarbcza. Szary człowiek odszedł zniechęcony.

Na górze zaczęła pokazywać się biała, zakwefiona pani. Widziano ją z dołu, gdy schodziła leśną, wijącą się dróżką, ale nigdy zejść nie mogła. Rozwiewał ją w połowie drogi podmuch wiatru, a niespokojni widzowie żegnali się krzyżem świętym. Towarzyszył w tym miejscu przechodniom koń; słyszany, a nie widziany... Trzeszczały gałęzie leśne, a potem rozległo się parskanie i tętent kopyt po pustym gościńcu... Ale najczęściej schodził z góry smutny pies i przeciąwszy drogę kierował się łąziską szosą (wieś Łaziska) do małej kapliczki na drzewie i - przepadał.

Tego psa widują ludzie jeszcze teraz, choć las wycięty, a góra utraciła cechy tajemniczości. Podobno kiedyś odbyło się na tej górze morderstwo rozbójników, a ofiary powieszono na drzewach, po obu stronach biegnącej drogi.

A może dusza któregoś z myśliwych, zamknięta w smutnym psie, pokutuje za swawolę odbierania życia niewinnym sarnom, o wymownych, czarnych oczach.

Firlejowskie jezioro

Firlejowskie jezioro otacza urok legendy. Leży ono niedaleko Lubartowa, w dawnych dobrach firlejowskich, a pięknoscią swoją pociąga i zachwyca wielu. Na obszarze kilkuset morgów, w kształcie Morskiego Oka rozlane, w dzień pogodny mieni się złotem i szafirem, a wyrosłe nad brzegami drzewa i krzewy przegładają się w nim jak w lusterku. Ktokolwiek przyjeżdża, zadumany przed tym żywym zwierciadłem, staje i pyta o legendę cudownego jeziora...

Okoliczni mieszkańcy schodzą się na połów ryb, zawsze pomyślny i obfity i jeden drugiemu legendę opowiada. Czasem zastawione sieci niezmierny ciężar pochwycą, a zdumieni rybacy wyciągają zeń cegłę, żelazo, gzymsy, belki i różne inne przedmioty, mające związek z budownictwem. Kiedyś została nawet wydobyta wielka skrzynia, pełna ślicznych zamorskich tkanin.

Gdy niebo chmurami się zaciągnie i zadmie wiatr z północy - jezioro szaleje. Szmaragdowe wody, od niezgłębionego dna wzburzone, kołyszają się z początku z wolna i poważnie... Potem - nabrawszy żywiołowego rozmachu - wpadają we wściekłość... Biją o brzegi, piętują się, fale urastają do rozmiarów oceanicznych bałwanów, a głuchy pomruk towarzyszy tej orgii.

Gdy nierozważna łódka wypłynie wówczas od lądu, zostaje porwana przez fale i wyrzucona jak piłka do ich piętrowej wysokości, a potem -jak piłka opada na dół i pochwyciona przez coraz nowe bałwany, w piekielnym tańcu wypływa na środek. Od brzegu bywa widziana tylko w tym momencie, gdy rozszalały żywioł na szczyt fali ją uniesie.

Wielka ilość wody cudownego jeziora nie podlega zmniejszaniu. Środkiem jest ono zawsze niezgłębione. Właściciele okolicznych łąk dla użyczenia paszy przekopali w różnych kierunkach kanały nawadniając swoje grunta. Lecz nie wpłynęło to bynajmniej na obniżenie poziomu wody w jeziorze. To jest właśnie jedna z jego tajemnic...

Mówią ludzie starzy, że dawniej, bardzo dawno temu, było w tym miejscu piękne miasto. Bogate budowle, wytworne parki, kunsztowne rzeźby uświetniały jego wygląd. Wonne płateczki rzadkiego kwiecica jak najcudowniejsze kadzidło padały na pieszczone głowy, otaczając je przepyszny aromatem, a świergot ptaków dźwięczał jak harmonijna kapela.

To było bardzo dawno. Wówczas, gdy pierwsze blaski chrześcijaństwa -jak promyk słoneczny, torujący drogę do lochów - zaczęły wnikać w niektóre serca i mózgi.

Piękne miasto roilo się od pogan. Zjeżdżali święci misjonarze, rosząc krwią męczeńską ulice i pola, padało towarzyszące im rycerstwo, lecz zatwardziałość dusz była zawsze jednaka.

Aż kiedyś jeden z zakonów poświęcił wiele pieniędzy, wysłał pobożnych ojców i braciszków zakonnych do opornego miasta i wystawił świątynkę o dzwonach ze srebra ulanych, by przejmującym głosem tych serc metalowych poruszyć żywe serca i na modlitwę przywołać.

I oto stało się coś strasznego.

Dziki pogaństwem tłum wyległ jak niezliczone mrowisko pod mury świątyni i zburzył ją doszczętnie. Metalowe serca srebrnych dzwonów załkały rozgłośnie i

runęły na ziemię. Padające głązy z rozwalonej świątyni raz w raz uderzały w te dzwony poświęcane, które długim przeciągłym jękiem skarżyły się Bogu na swoje poniżenie.

Było to w sam czas Wielkiego Postu.

Umęczone ciała świętych zakonników legły również przysypane gruzem. Z dzieła na chwałę bożą uczynionego został pusty plac splamiony krwią niewinnych i naznaczony klątwą kary.

Wieść o straszliwej zbrodni rozbiegła się po świecie.

Zapłakał Bałtyk.

Ten - nad którego brzegami znalazł śmierć męczeńską św. Wojciech Biskup, przez króla Bolesława Chrobrego do krzewienia chrześcijaństwa na Pomorzu sprowadzony... W pobliżu którego zginął św. Bruno z rąk pogaństwa - zapłakał nad sromotą zatwardziałego miasta.

Rozkołysały się fale, jak pierś łkaniem wezbrana, zadrżała ziemia smutkiem i żalem. Aż jako łzy, co z ócz wąskim strumyczkiem po twarzy biegnąc żłobią ślad niezatarty, zburzone wody w morskich głębinach na dnie serca Bałtyku poty były o brzeg, aż ustąpiła wzruszona ziemia i struga podziemnej wody przemierzyła Polskę z północnej strony na wschodnią, a dotarwszy do złego miasta, zalała je szumnym potokiem, tworząc niezgłębione, cudowne jezioro.

Kara boża dokonała się.

Miasto runęło w głębię, zatopione wielką ilością wód... Pogańskie dusze, co Boga uznać nie chciały - przepadły na wieki. I potomkowie stanęli przed wielką tajemnicą cudownego jeziora.

Dlatego to, gdy rybacy sieci zapuszczają, wyławiają czasem kawałki gzysów, belek i żelastwa, że zatopione miasto, krusząc się i rozpadając przez długie wieki, jeszcze daje znać o swym minionym istnieniu. A gdy w Wielkim Poście wiatr powieje, rozkołyszą się fale wzburzone smutną pamiątką i szmaragdowe wody zaszumią złowrogo w srebrnych dzwonach zburzonej świątyni, którym czas szkody nie wyrządził, serca bić zaczynają i z głębi jeziora rozchodzi się ich głos potężny pieśnią nieśmiertelną i pełną grozy.

Pobliscy mieszkańcy przysięgać gotowi, że niejednen z nich słyszał wielkopostną muzykę jeziora. Pewni są również istnienia podziemnego, naturalnego kanału, łączącego cudowne jezioro z Bałtykiem. I właśnie pomocy morza przypisują wielkie, nigdy nie opadające głębie wód jeziora.

Na potwierdzenie tych zapewnień przypominają wydobyte skrzyni pełnej bogactw, która - według ich przekonania - wypadła z rozbitego okrętu i poty błąkała się po dnie morskim, aż ją ruchliwa fala w podziemny korytarz skierowała, przesu- wając przezeń długi czas, aż do terytorium firlejowskiego jeziora przywiodła.

I płyną dalej dnie i lata. Moc legendy nie słabnie. Przez starców młodzieży przekazywana, ma zawsze świeży urok i czar tajemniczości. Każdy z nowych jakby dowodów, wyławianych sieciami z głębi jeziora, potwierdza legendę potomności, która zasłuchana w przeszłość, z podziwem i wzruszeniem ogląda wydobyte szczątki rozpadłych budowli i - wzdychając - patrzy na zmienne barwą tonie, tak zmienne, jak tylko wody Bałtyku bywają.

Podanie o ojcu Ruszlu

Pięknym i cennym zabytkiem starego Lublina jest kościół oo. Dominikanów, wybudowany w roku 1342, z rozkazu Kazimierza Wielkiego, w obwodzie murów miejskich, przy uliczce Złotej.

W jednej z jego licznych kaplic, zwanej Ruszłowską, ogarnia zaduma nad dziwnymi drogami duszy ludzkiej, która opuściwszy ciało, ma jeszcze coś do powiedzenia światu.

Nazwa tej kaplicy pochodzi od cudownego obrazu Matki Boskiej, będącego niegdyś własnością ojca Ruszla, przeora zgromadzenia, który umarł w połowie XVII wieku.

Ma ona chór i organy i tę tajemniczość dziwną, wiążącą dawne i dzisiejsze dzieje.

Ojciec Ruszel był człowiekiem niepospolitego miłosierdzia, rozumu, dobroci i pobożności. Braciszkwowie twierdzili, że lampkę oliwną przed obrazem Matki Boskiej w jego celi zapalają aniołowie. Toteż gdy umarł, żal i płacz był tym większy, że ciało jego znikło bez wieści.

Z czasem ludzie wytłumaczyli sobie, że pan Bóg razem z ciałem zabrał do nieba swego wiernego sługę i oddawali mu cześć jako świętemu.

Bo gdzieżby się podział? Kto by go skraść pozwolił? Braciszkwowie trzymali wartę u tych zwłok najdroższych i odprawiali modły przez dnie i noce. Więc nagłe zniknięcie ciała tylko nadprzyrodzonemu zrządzeniu przypisać można było.

Pewno zdrzemnęli się znużeni wartownicy i przez ten moment stał się dziw.

Ale w klasztorze zaczęły dziać się niesamowite rzeczy. Organy same grały w kaplicy ojca Ruszla, a przy ołtarzu widać było cień ludzkiej postaci, jego postaci... Po korytarzach snuła się jakaś zjawa... To ojciec Ruszel klasztor nawiedzał. Widział go ten i ów... Ten i ów trwogą zdjęty żegnał się i na kolana upadał. Wieść o tym rozchodziła się po Lublinie i okolicy. Ludzie trwożyli się, ale świadkowie stwierdzili prawdziwość tych zjawisk... Rzeczywiście były to zjawiska nadprzyrodzone, choć mało zrozumiałe, bo wędrówkę pośmiertną ludzie zwykli uważać za pokutę, a czysty żywot ojca Ruszla wykluczała taką możliwość.

W ten sposób minęło prawie dwieście pięćdziesiąt lat. Ze zjawą u dominikanów żyły się pokolenia. Każdy wiedział, nikt się nie dziwił. Zjawia się... Mszę odprawia... Na organach gra... Po korytarzach chodzi... Nikomu z tego powodu nie stała się żadna krzywda...

Kiedy władze rosyjskie zajęły klasztor na koszary, ujrzał zjawę w korytarzu wartujący żołnierz i uciekł przestraszony. Następny wartownik był odważniejszy. Po prostu zmierzył się i strzelił. Zjawa rozłożyła ręce i... znikła w ścianie. Wtedy żołnierz zaalarmował władze.

I oto komisja śledcza w miejscu ściśle wskazanym przez wartownika rozkazała ścianę opukać, a wyłowiwszy uchem jakby próżnię, zarządziła - na pewnej przestrzeni — ścianę odmurować. Wtedy... ujrano we wnęce szkielet ludzki, który po zbadaniu takich przedmiotów jak szkaplerz i różaniec, okazał się... ojcem Ruszlem.

A teraz pytanie i wniosek:

Kto go zamurował i dlaczego?

Przypuszczać należy, że uwielbiający go braciszkanie zainscenizowali wniebowzięcie zacnego dominikanina, aby przed wiernym ludem tym więcej podnieść jego cnoty. A tymczasem pokorna dusza i ojca Ruszła znieść nie mogła tego zrównania go z Matką Boską i niepokoili żyjących, aby ujawnić prawdę. Bo fakt faktem, że z chwilą odmurowania szkieletu zjawa nie pokazała się więcej. Ale pamięć o tym nie wygasła.

Murowany kościół i klasztor Dominikanów w podanym roku zostały ufundowane i powstawały etapami. Dominikanie znaleźli się w Lublinie ok. 1260 r. i pierwsza ich świątynia, najpewniej drewniana kaplica św. Krzyża, stała w miejscu obecnego kompleksu zabudowań. „Kronika Wołyńska” z 1288 r., jak się uważa, przytacza szczegóły dotyczące właśnie ówczesnego klasztoru Dominikanów.

XVIII-wieczny portret o. Pawła Ruszła wisi nad wejściem Kaplicy Matki Boskiej Ruszelskiej. Kaplicę wybudowano w 1728 r. pod wezwaniem św. Andrzeja, a zmieniła nazwę po 1768 r., gdy umieszczono w niej obraz z początku XVII wieku przedstawiający Matkę Bożą adorującą Dzieciątka - był to obraz szczególnie czczony przez o. Ruszła i stąd nazwano go ruszelskim.

Podanie o Drzewie Krzyża Św. u dominikanów

Największa w świecie katolickim część Drzewa Krzyża Świętego przechowywana w kościele oo. Dominikanów lubelskich spowodowała wiele silnych wydarzeń, łączących się złotymi ogniwami w drogocenny łańcuch wewnętrznych przeżyć Lublina.

Przed wszystkim dziwne zrządzenie towarzyszące jej przybyciu.

Dlatego, aby Lublin stał się jej siedzibą, wielka księżna Anna (X w.) poślubiwszy Włodzimierza, księcia kijowskiego, nie chciała wyjechać z Konstantynopola, dopóki nie wyprosiła sobie ze skarbcza królewskiego Św. Drzewa. Dlatego w kilka wieków potem książę kijowski Iwan w zamian za spaloną przez Tatarów katedrę katolicką wybrał jako rekompensatę dla jej biskupa Andrzeja z Krakowa - właśnie św. relikwię, spoczywającą w skarbcu od czasów Anny Włodzimierzowej. Dlatego biskup Andrzej w drodze do Krakowa zatrzymał się na odpoczynek u dominikanów w Lublinie.

I tu Bóg w sposób jasny i prosty objawił swoją wolę: konie za nic nie chciały ruszyć w dalszą drogę, dopóki nie zdjęto z wozu skrzyni z relikwią. A gdy biskup, zrozumiał sens nadprzyrodzony tego zdarzenia, postanowił zostawić Drzewo Św. w Lublinie, ujawszy tylko małą częśćeczkę dla innego kościoła, dłuto przy tej robocie przebiło mu dłoń. Wówczas zrezygnował całkowicie i złożył przyrzeczenie Bogu, że relikwie św. staną się niepodzielną własnością i pociechą oo. dominikanów lubelskich.

Rychło potem kupiec gdański, Henryk, pokusił się o tę relikwię i skradł ją z kościoła, ale ujechał tylko do miejsca, gdzie obecnie stoi gmach Katolickiego Uniwersytetu. Coś się koniom stało, nie poszły dalej. Niejednokrotnie to już wola wyższa przemawiała przez te najszlachetniejsze zwierzęta. Otóż skruszony kupiec zawrócił do miasta, oddał Drzewo Św. w ręce przeora i - na miejscu swego opamiętania wystawił kościółek drewniany pod wezwaniem Św. Krzyża.

Wreszcie zaczęły dziać się u dominikanów cuda, upamiętnione w malowidłach kościelnych. Ciężko chora Eufemia Walicka, po ofiarowaniu się w opiekę relikwii - wyzdrowiała nagle. Schorzały na nogi Jan Gryza, odprawivszy modły w cudownej kaplicy, zostawił kule i zdrów do domu powrócił. W aktach notarialnych znajduje się cały szereg sprawdzonych uzdrowień i innych cudów.

Gdy w roku 1649 Bohdan Chmielnicki stanął na czele wojska pod Lublinem, strwożeni mieszkańcy przypadli do stóp ołtarza w dominikańskim kościele. Przeor Zgromadzenia zarządził procesję z Drzewem Krzyża Świętego po Rynku. I oto gdy procesja dobiegała końca, na ściemniałym nagle firmamencie ukazał się potężny i groźny w przedziwnej jasności miecz i zaczął płynąć nad miastem, ciskając promienie jak błyskawice. A z każdego z nich tworzył się miecz nowy, aż niebo całe okryło się znamionami walki, jakby hufce anielskie wyległy przeciwko wrogowi pokoju.

I ujrzał znaki na niebie Chmielnicki, a zabobonnym strachem zdjęty, dał hasło odwrotu i uciekł w popłochu.

W 1651 roku, kiedy pułkownik Daniel Neczaj ruszył z kozactwem przeciwko wojsku polskiemu, pobożny i szczęśliwy król Jan Kazimierz oddał losy bitwy pod cudowną

opiekę Drzewa Krzyża Św. Po walnym zwycięstwie pod Winnicą Krzysztof Tyszkiewicz, wojewoda czernihowski - z polecenia królewskiego - złożył u dominikanów w Lublinie jako wotum buławę Neczaja i siedem zdobytych chorągwi.

W roku 1710* wielki pożar Lublina odwrócił się i zagasł pod cudownym działaniem Drzewa Św., obnoszonego procesjonalnie w promieniu szalejącego ognia. Zdarzenie to utrwalili ówczesny malarz na ścianie zakrystii w dominikańskim kościele, a za czasów obecnych została zrobiona kopia tego malowidła.

We wrześniu 1939 roku, podczas potwornego nalotu niemieckiego na Stare Miasto, wyległa również procesja wierzących z Drzewem Krzyża Św. i okrążywszy Trybunał skierowała się z powrotem do kościoła. Dowodzą fakty, że ta część Starego Miasta wyszła z nalotu obronną ręką.

Święte relikwie, adorowane przez króla Jana Kazimierza, króla Stanisława Augusta i niezliczone pielgrzymki lat dawnych i dzisiejszych, czuwają nad Lublinem.

* _____

Kamienni rycerze

Po jarmarku w Annopolu Janowskim wracali ludzie to do pobliskiego Rachowa, to do Kraśnika, to do Jakubowie. U skraju osady, na jednym ze wzgórz stojącej kaplicy św. Anny kłaniali się przechodnie słomianymi kapeluszami własnej roboty, a na piersiach opiętych siwą lub siwogranatową sukmaną kładli pobożnie, jakby z obawą - krzyża znak święty. Tuż za kaplicą, na polach i w jakubowickim lesie trzeba było mijać gromadę głazów kamiennych, sterczących smutnie. Kto tylko zbliżył się do nich, szedł z odkrytą głową, szepcząc pacierze za dusze zmarłych, dopóki ostatni głaz nie został za nim. U stóp wzgórza szumiała Wisła, zrumieniona blaskiem zachodzącego słońca...

Tego dnia panował jakiś ruch przy tym kamiennym cmentarzysku. Stały furmanki, a robotnicy przy pomocy legarów dźwigali wielkie głazy, ładując po jednym na każdy z nich. Przechodzący włościanie zamruczeli niechętnie:

- I komuż to spodobały się te biedne kamieniska? Nie lepiej zostawić je w spokoju, kiedy tutaj tyle wieków przeleżały?

Robotnicy roześmieli się.

- Aha! Śpiący rycerze? - przygadał któryś. - Dosyć się już wypróżnowali. Teraz zrobimy z nich tamę wiślaną. Będzie im chłodniej!

- Przydadzą się i na budowę drogi bitej! - zaśmiał się drugi. - Potłucze się je na drobno i szosa będzie jak brylant!

Chłopi spojrzeli ze zgrozą na mówiących. Przecież to czarodziejskie kamienie, zakłęci ludzie! Jakże ich tłuc na kawałeczki albo tamy z nich robić? Grzech!!!

Staje myśl w biegu, cofa się wstecz... Przez progi wieków, przez szlaki dziejów podąża w zawrotnym tempie, spieszna, zachłanna, ciekawa i zatrzymuje się u tronu Bolesława Śmiałego.

Panią na obecnym Rachowie i Annopolu była wtedy Anna Rachowa, krewna św. Stanisława Biskupa, matka dwóch synów: Sędziwoja i Żegoty, dziedziców Świeciechowa i Opoki.

Po drugiej stronie Wisły, we wsi Słupi, mieszkała piękna Halszka, srebrem śmiechu i brylantami oczu usidlająca męskie serca.

Na Wiśle wrzało życie. Od Krakowa, Sandomierza, Zawichostu ciągnęły tratwy. Uwodzicielska Halszka zjawiała się wtedy na wyniosłym brzegu Wisły, by syrenim śmiechem zwracać na siebie uwagę flisaków.

Podrażniony mile zmysł słuchu wysyłał ich oczy na zwiady i udzielała się rozkosz obezwładniająca zmysłowi wzroku. Wiosła wypadały z ręki, a świadomość powracała w chwili, gdy pozostawione samym sobie tratwy rozbijały się u stóp góry ku tryumfalnej radości zwodnicy.

Uroda Halszki oczarowała także dziedzica Świeciechowa. Sędziwój, Rachów syn, wysłał swaty za Wisłę i wkrótce potem poślubił ukochaną dziewczynę. Ale nie ustatkował Halszki ani pierścień ślubny, ani czepiec mężatki. Lekkomysłności diabeł podszewkę grzechu doszywa i w posiadanie bierze obałamucaną duszę. Toteż Halszka, jak puch kwiatowy w swym sercu lekka, zakochała się w męzowskim bracie, wabiąc go ku sobie.

Młody Żegota, rycerz piękny i śmiały, poddał się czarowi bratowej... Wartka krew zakipiła w żyłach i - spełnił się czyn występny: brat bratu żonę uwiódł.

Ból i gniew targnął sercem Sędziwoja... Jego honor smagnęła hańba. Wzgardzony, lecz dumny, zażądał od brata satysfakcji orężnej.

Strwożyła się na to matka powaśnionych - Anna Rachowa. Jak to? Grzech cudzołóstwa jeszcze walką bratobójczą pomnożyć? Nigdy! Od czegoż matki słowo mocne, od czegoż jej miłość i bojaźń boża? Przed swoje oczy ich wezwie, do serca ich trafi, skradzioną żonę oddać każe i uraz piastować nie pozwoli...

Ale silniejsza była zawziętość braci od woli matki. Nie pomogły ani jej słowa dobre, ani jej bolesny gniew. Dla walki o honor i kobietę zebrali rycerzy i ruszyli każdy z nich na czele swego wojska. Sędziwój zatrzymał się w lesie koło Jakubowie, Żegota - na pobliskim wzgórzu. Lekkomyslna Halszka dumnym sercem przyjmowała spór braci. Nie zależało już jej specjalnie na żadnym z nich. Zwycięzca miał być godzien jej względów. Z ciekawości wyszła otoczona dworem niewieścim na jedno ze wzgórz, chciwa podniecającego widoku, ciekawa rezultatu walki.

A w oknie baszty czuwała drżąca z niepokoju Anna Rachowa. Może się rozmyśli? Może dłonie wyciągną do zgody? Może różdżką oliwną i gołębicą pokoju stanie się w ostatniej chwili wietrznica Halszka?... Wszak przyszła... Wszak jest... Czyż dopuści do rozlewu krwi przez nią?... dla niej? Lecz co to? Szeregi szykują się? Pada pierwsze hasło rozpoczęcia walki? Przebóg!!! Kainowa zbrodnia się powtórzy!!!

Z rozzwierającym krzykiem rzuciła się Anna Rachowa na kolana: - Boże! - zawołała rozpacznie. - Zamień ich raczej w kamienie, a nie dopuść, aby popłynęła krew bratnia!!!

W odpowiedzi zawył niepokojący wiatr, trzęsąc ramą okienną. Anna Rachowa podniosła się z klęczek i do okna podbiegła.

Nie widać nic. Wicher poderwał z ziemi gęste leje pyłu i pole walki przesłonił. Jakoś straszno zrobiło się matce.

- Czy Bóg zesłaniem nawałnicy chce oprzytomnić zaślepieńców?... Chce odwlec chwilę zbrodni?

Słychać żywy odgłos przyśpieszonych kroków... Ktoś biegnie... Ktoś ucieka... Jakaś gromadka zbliża się do zamku... Kobiety!!! Biegają przerażone. Długie szale podrywa i unosi wicher... Pierwsi dezercerzy z terenu walki... To dwór Halszki!... A gdzież ona?... Już dopadły zamku... Jęknęły ciężkie odrzwia i... cisza. Nie bieży więcej nikt, ale i strzałów nie słychać. Żywioł - nadprzyrodzoną moc przypomniał i ochotę bratobójczej walki odebrał?

Matka patrzy, wypatruje oczy, wyteżęła słuch... Aż oto wiatr się uciszył, opadła kurzawa... Jezus Maryja!!! Co to? Znieruchomiali stoją rycerze, a opodal na wzgórzu - sama, sztywna jak posąg Halszka.

Anna Rachowa wybiega z baszty. Przestach poniósł ją jak na skrzydłach. Z niepokojem dopadła pierwszych szeregów: Kamienie!!! Przebóg!!! Kamienie!!! Sędziwoju.! Żegoto!

Nie było odpowiedzi. Gniewni bracia skamieniali także.

Dla synów nie miało wagi słowo matki. Bóg usłyszał zaraz jej zakłęcie i udaremnił kainowy czyn...

Przerażona Anna Rachowa, oprzytomniawszy po pierwszym, wstrząsającym bólu, kazała dla przebłagania Boga wznieść kaplicę pod wezwaniem swej patronki na tym miejscu, gdzie skamieniał syn jej młodszy, a terenom położonym u stóp wzgórza dała nazwę Annopola. Po czym złamana cierpieniem, udręczona wyrzutami sumienia, wstąpiła do klasztoru pp. Franciszkanek w Zawichoście, aby resztę życia spędzić na pokucie i modlitwie za biedne kamienie.

Z wiarołomnej Halszki zadrwił ślepy los. W jakiś czas po tym zdarzeniu mieszkańcy Annopola zbudowali wiatrak na miejscu tragicznego kresu jej żywota. Wiatrak - symbol godny grzesznej wietrznicy, pomnik sprawiedliwy, na smutną pamiątkę postawiony.

Józef Simmler, znakomity malarz XIX wieku, twórca „Śmierci Barbary Radziwiłłówny”, zapatrzony w urok legendy, uwiecznił na płótnie uwodzicielską postać Halszki, wabiącą z wiślanego brzegu odurzonych jej urokiem flisaków.

A co na to wszystko nauka?

Geologowie, ci zimni ludzie, wyzuci z poezji złudzeń, stwierdzili, że „zakłęci rycerze” to pospolite kamienie, które przywędrowały wraz z lodowcami ze Skandynawii, a po rozpuszczeniu się lodowców osiadły pod Annopolem i Jakubowicami.

Legendo - żyj!!! Legendo - nie pozwól nauce odzierać się z uroku ludowych wierzeń i podań! Legendo - od wieków - wiekom służ!

Wskrzeszenie Piotrawina

Osiem wieków z okładem mówi lud o wskrzeszeniu zmarłego człowieka przez patrona Polski św. Stanisława Biskupa.

Płynęła wtedy Wisła, jako i teraz płynie, tocząc wody bystre ku Bałtykowi. Przepływała, jako i teraz przepływa, u podnóża wsi Piotrawin (Puławski) i - białego Solca, co rozsiadł się na wspaniałych skałach, na jej drugim brzegu.

Gdy się bliżej ku Solcowi podpłynie, wydobywając się z zakrętu, widać smętnie sterczące ruiny zamczyska, patrzące jakby w czerwone dachy nizinnego Piotrawina.

Król Bolesław Śmiały budował ten zamek i zamieszkiwał go z całym dworem w ciepłe, letnie miesiące. Gdy się dobrze w te ruiny wpatrzeć, a potem oczy przymknąć, to urastają one w niezdobyte, warowne mury, nad urwiskiem dumnie rozsiadłe. Z wieży zamkowej zda się powiewać królewska chorągiew, a z doliny dochodzi tętent rumaków powracającego rycerstwa. Król Bolesław naprzód wysunięty, tuż za nim koń „wroźebny”, przez pachotka prowadzony, a dalej - błazny, dworacy, żołnierze...

Na rynku miasteczka była królewska kaplica, a za miasteczkiem, w rzecznej dolinie, pośród kępy drzew wznosił się sąd, w którym król osobiście zasiadał.

I raz wypadła sprawa trudna do rozsądzenia. Jedyny świadek zmarł, a był nim Piotrawin, dziedzic na Piotrawinie, wiosce po lubelskiej stronie Wisły położonej. Sprawę tę miał biskup krakowski, Stanisław Szczepanowski, późniejszy patron naszego kościoła Dominikanów w Lublinie. Otóż król - nieświadomy sporu - rozstrzygnąć go nie chciał. Sprawa była wielce ważna i sądu wymagająca.

I wówczas stała się rzecz niepojęta.

Biskup Stanisław dla utwierdzenia prawdy słów swoich przepłynął Wisłę, stanął nad grobem Piotrawina, kazał odwalić kamień i wio trumny i rzekł do trupa: - Piotrawinie, wstań! A chodź dać świadectwo prawdzie!

- Na te mocne słowa struchlał zatrwożony lud towarzyszący czekał.

A żółty, uschnięty trup poruszył się na swym ostatnim pośnaniu i wstał posłusznie.

Wówczas biskup Szczepanowski ujął go za rękę i poprowadził wolno przez wiślane fale do Solca... A lud zgromadzony został na brzegu, patrząc w osłupieniu na cud zmartwychwstania. Prawdzie stało się zadość. Piotrawin złożył w sądzie potrzebne świadectwo, aż zdumiał się król i rycerstwo.

Piotrawinie, chceszli żyć? - zapytał go biskup po opuszczeniu sądu. Piotrawin wzniosł oczy szkliste na mówiącego i odpowiedział stanowczo: - Chcę wrócić do grobu.

I powrócił tą samą drogą i ułożył się w trumnie, pobłogostawiony przez swego wskrzesiciela, żegnany raz jeszcze przez lud. Wieść o tym niezwykłym cudzie rozeszła się po całym kraju. Mówili o nim starzy i młodzi, dzieciom niańki śpiewały nad kołyską, jak to Stanisław Biskup przez Wisłę szedł ze zmartwychwstałym na sąd królewski.

I biegły lata, a z lat układały się dziesiątki, a z dziesiątków stulecia. Ludzie pamiętali cud, ale nikt nie spieszył ku widomemu uczczeniu go. I oto pewna pobożna

niewiasta, należąca do Trzeciego Zakonu, opiekunka dzieci w kamienickim dworze (obok Piotrawina), miała sen dziwny, aby postarała się o bryczuszkę i osiołka i objechała okolicę po obu stronach Wisły, kwestując na wybudowanie kościółka „na łązku”, w miejscu, gdzie św. Stanisław spoczął wraz z Piotrawinem, śpiesząc na sąd.

Zakonnica opowiedziała ten sen dziedziczce Kamienia, która przejąwszy się do głębi, ofiarowała jej natychmiast osiołka z bryczuszką i - pewną kwotę na zapoczątkowanie ofiar.

Odtąd rozpoczęła się kwesta powolna, żmudna, bo osiołek chodził wolno, droga ubywała niesporo, a wolę w śnie objawioną trzeba było wypełnić.

Toteż ludzie w polu podczas żniw, kopania, pielenia czy siejby widywali ten dziwny pojazd i kwestarkę objeżdżającą cierpliwie i ohotnie dwory, kolonie i zamożniejsze chaty, ale nawet najbiedniejsi dorzucali swój grosik wdowi, aby wypełniło się.

Tym sposobem zajaśniały wśród kępy drzew na łązku bielone ściany murowanego kościółka dla uczczenia wielkiego cudu dokonanego z woli bożej przez św. Stanisława Biskupa.

Artyści malarze różnych wieków oddali na płótnie wstrząsającą scenę wskrzeszenia Piotrawina. Jeden z takich obrazów zdobi ołtarz w kościele oo. Dominikanów w Lublinie w kaplicy św. Stanisława.

Rokrocznie w dzień ósmego maja odbywają się odpusty w kościołach jego imienia. Rokrocznie ciągną także rzesze narodu z Solca, z Raju, z Lipska, a zza Wisły, z lubelskiej strony, z Piotrawina, Kamienia, Kluczkowic i innych dalszych wsi na odpust do małego kościółka „na łązku” przyrzecznym, w końcu minionego stulecia wystawionego.

I podziwia zapatrzony lud jasną smugę na wodzie, łączącą oba brzegi, na pamiątkę odbytej tędy drogi przez św. Stanisława ze wskrzeszonym z grobu Piotrawinem.

Zawieprzycki zamek

Zostały po nim ruiny... Zwiertzałe, smutnie sterczące ruiny. Ale z ruin tych spogląda niezapomniana przeszłość i przypomina się krwawo współczesnym.

Wieś Zawieprzyc leży w ślicznej okolicy nad Wieprzem, płynącym tutaj w półkole. Trudny dojazd do wsi rozwiązują licznie rozrzucone mosty, pochodzące z czasów strasznej legendy.

Było to... po wiedeńskiej wyprawie króla Jana, gdy kasztelan lubelski Jan Granowski wrócił spod Wiednia do swoich Zawieprzyc z wielką ilością jeńców tureckich i łupów wojennych.

Między Turkami zaplątała się księżęca para włoska, prawdopodobnie porwana przez Turków dla ozdoby polowego namiotu wielkiego wezyra.

Piękna Włoszka przypadła do gustu dziedzicowi Zawieprzyc. Zwolnił ją od robót i wystąpił w roli zalotnika pod nieobecność żony bawiącej za granicą. Ale próżne były jego zabiegi. Czarnooka dziewczyna okazała mu wstręt. Niewolnica - wstręt — wszechwładnemu panu... Granowski zapalał gniewem. Kazał ją uwięzić w nowo wybudowanej wieży zamkowej, a młodego Włocha, w którym odczuł rywala, przykuł do taczki, wyznaczając mu drogę do wożenia ciężarów przez park koło okna uwięzionej księżniczki.

I zaczęły splatać się w cierniowy wieniec długie, ciężkie dni... Kiedyś... daleko... w pięknej Florencji... daleko... w pięknej Florencji, byli tacy szczęśliwi... A potem - nagle - wojna... porwanie i wreszcie namiot wezyra pod Wiedniem, a teraz niewola u polskiego magnata.

Jeńcy budowali tymczasem zamek. Popędzał ich Granowski i wzrokiem mściciela przeprowadzał przykutego do taczki młodzieńca. I oto ulitował się nad kochankami ktoś ze służby dostarczającej pożywienie. Podsunęto nadzieję ucieczki... Miała być wynajęta łódź o dwóch wiosłach... on - rozkuty z kajdan, ona - wyprowadzona z wieży...

Straż ma także serce, albo... zmysły... Więc urodziwa służebna ofiarowała się sprowadzić ją na pokuszenie, aby oswobodzić posterunki...

Wszystko było uplanowane. Już chwiała się łódź w zaroślach nadrzecznych... Już przed zachodem słońca biegli z trwogą w sercu wyzwoleńcy... Już stopka dziewczyny dotykała burty łódki... I - naraz zachwiały się zarośla i nieoczekiwana pogoń schwyciła oboje. Dziedzic miał swego powiernika, fałszywego, złego człowieka, który wszystko śledząc pilnie i plan ucieczki wyśledził.

A na zamku czekał tymczasem z zemstą nad zbiegłymi niewolnikami zły pan i władca. Wprowadzono ich do sali. Obok mściciela rozpartego na fotelu stali pokornie dwaj murarze z kielniami w ręku, a sterta cegieł i dwie świeże wnęki w ścianie zdradzały straszny wyrok. Niemym świadkiem tej sceny był także malarz nadworny, z Włoch do Zawieprzyc sprowadzony, dla wymalowania obrazów do nowo wzniesionej kaplicy.

Zabrzmiała komenda. Młody książe stanął we wnęcie, a murarze z wolna rozpoczęli robotę... W kilka chwil potem postawiono w drugiej wnęcie nieszczęsną Włoszkę i

zamurowano także. W momencie strasznego finału ostatnie krwawe blaski zachodu wdarły się do sali, oświetlając miejsce kaźni.

A pan odszedł, rad ze swojej siły, i spokojnie wykańczał kaplicę pysze swojej na chwałę, nagląc malarza o pośpiech.

Tymczasem malarz zabrał się wprawdzie do pracy, ale nikogo na próg pracowni nie wpuszczał, a wychodząc - stalugi szczelnie okrywał i drzwi na klucz zamykał.

Tak trwało długo. Wreszcie ten sam powiernik pański zakradł się do pokoju malarza i struchlał przed jego dziełem: każde płótno z przerażającą wyrazistością przedstawiało sceny męczeństwa książęcej pary aż do zamurowania ich żywcem.

Zakipiał gniewem zły pan. Kazał pojmać malarza i - zgotował mu śmierć obok poprzednio zamurowanych.

I nagle... punktualnie o zachodzie słońca zaczęły się w komnacie zjawiska na tragicznej ścianie. Zjawiska dziwne, wiernie według obrazów zamordowanego malarza postępujące. Okropne te sceny, jak na srebrnym ekranie wyświetlane, powtarzały się w świetle gasnącego słońca każdego dnia. Wtedy przestraszony Granowski rzucił zamek i wyjechał za granicę.

Gniew boży dosięgnął jeszcze na ziemi okrutnego człowieka. Dręczony wyrzutami sumienia, przebolewał tragiczną śmierć żony i dwóch synów, a porzuciwszy na zawsze swoje dobra - udał się do Włoch, szukając ukojenia w klasztorze, na tej ziemi, z której pochodziły trzy ofiary jego okrucieństwa.

Ale zjawiska w zamku zawiepryckim powtarzały się dalej przez długie wieki. Ojce, synowie i wnuki uciekali o zachodzie słońca z dziwnej komnaty, aby nie być świadkami strasznego seansu. Zmieniali się dziedzice, zmieniała się służba, ubiegał czas... Ludzie marli, rodzili się nowi, tylko godzina zjawiska była niezmienna. Jak kara boża za winy praod- ców przychodziły straszliwe zjawy na wieczne przypomnienie czegoś, co się kiedyś w tym zamczysku stało.

Obecnie zamek zawieprycki przedstawia ruiny. Kilkakrotnie niszczone przez pożar i znów odbudowane, dostał się wreszcie w ręce, które o jego całość nie dbały. Pozostała tylko w możliwym stanie kaplica, a jako ślad pracy jeńców tureckich widnieją w promieniu Zawieprzyc rozliczne mosty i groble.

Wesele puławskie

Po żniwach Franek Matyjaszczyk przysłał swatów do Felki Małysówny. Gdy ich propozycję rodzice przyjęli, a za drugą wizytą panna podała konkurentowi kieliszek na milczący znak zgody i młodzi przepili do siebie, swatowie obgadali sprawę wspólnego wiana i dano na zapowiedzi.

Na kilka dni przed ślubem padł ofiarą wieprzek półkarmny, żeby kiełbas, mięsa i okrasy na weselu nie brakło. Felka umówiła sobie „starościnę weselną” i starszą druhnę, pan młody - „starostę” i starszego družbę. W wigilię ślubu państwo młodzi wybrali się ze swymi družbami - każde oddzielnie - gości spraszać. Felka, starannie ubrana i przejęta swoją misją, ledwo kilka kroków uszła od domu, stanęła w pąsach i trąciła łokciem starszą druhnę.

- Widzisz, kto idzie?

- A no widzę! Ta pyskaczka, co cię tak „obszczekała”.

- No właśnie! I gniewamy się do tej pory!

Ale zwyczaj silniejszy od sporów i niechęci. Felka zmogła się w sobie i - wyszedłszy naprzeciw swojej przeciwniczki, podjęła ją pod nogi, prosząc na wesele.

- Niech ci Pan Bóg błogosławi! - odpowiedziała tamta, zgodnie z tradycją, choć uderzyły na nią ognie, i zaproszenie przyjęła. Siłą rzeczy nastąpiła zgoda.

W dalszej drodze do sąsiadów bliższych i dalszych dziewczyny spotkały jeszcze parę osób, które również podejmowały pod nogi i zapraszały, uzyskując w zamian błogosławieństwo. To samo - jota w jotę - czynił Franek, w towarzystwie starszego družby.

Aż nadszedł uroczysty dzień. W izbie Małysków ciasno zrobiło się od gości. Każdy cisnął się do stołu na przekąskę zakropioną wódką. W powietrzu unosił się zapach czosnku, mięsa, ciasta i alkoholu. Druhny wystroili się po ludowemu: w czarne gorsety i jaskrawe spódniczki. Na głowie starościny chwiał się wysoki czub ze słomek i kwiatów, zakończony długim kawałkiem białego tiulu. Starszy družba czupurnie potrząsał jaskrawą od kwiatków i dzwoniącą dzwoneczkami różgą.

Po rzewnym momencie rodzicielskiego błogosławieństwa państwo młodzi ustawili się we drzwiach, aby całować po rękach wychodzących na ślub gości. Na ulicy przed domem czekało już na weselników kilka furmanek, a muzykanci różnili na skrzypcach i klarnecie zamaszystego marsza pod ogłuszający takt bębna.

Jazda do pobliskiego kościoła we Włostowicach odbyła się śpiewnie, muzycznie i wesoło, tylko panna młoda popłakiwała, żeby oblubieńcowi pokazać, że jej za mąż nie pilno i panieństwa żal.

W kościele wszystko przeszło jak należy. Nikt się nie potknął na zły omen, świece paliły się jasno i równo, organista grał . „Veni Creator” z wielką fantazją, a państwo młodzi złożyli przysięgę gładko, choć nieśmiało, i nie patrząc na siebie zamienili ; obrączki, a w powrotnej drodze weselna drużyna zajechała do rodziców ;; pana młodego na tańce i poczęstunek, ponieważ Franek Matyjaszczyk przechodził na mieszkanie do żony, więc oczepiny i koniec S wesela przypadały u jej rodziców, a początek - u jego. Kilka godzin trwały tańce z przekąską na przemian, bo wszyscy od razu nie mogli pomieścić się ani przy stole, ani w tanecznej izbie, więc towarzystwo

podzieliło się.

Humor i apetyt dopisywał aż miło. Dwa kieliszki ustawicznie napełniane okrażały gości. Donice z mięsem i sterty pokrajanego placka były punktem nie mniejszej ofensywy jak flaszki alkoholu. Po drugiej stronie chałupy tańczono namiętnie polki, oberki, a nawet fokstroty, bo moda wszędzie dociera.

Ku wieczorowi, gdy zmierzch zapadł, Małyskowie ze starościnałą wymknęli się do swego domu, aby rozgrzać ugotowany wprzód obiad i być w pogotowiu na przywitanie państwa młodych chlebem i solą.

Czekali niedługo. Ledwo bochenki pokrajanego chleba zawitały na stół, a piramidy świeżo pomytych misek i donic przestały ociekać wodą, dobiegł uszu - zrazu głuchy, potem coraz wyraźniejszy - warkot bębna, a wreszcie - jazgliwe tony skrzypiec i klarnetu oraz dźwięk dzwonek różgi starszego drużby. I oto weselnicy, barwnie mignawszy przed oknami, wtargnęli na podwórze, ustępując pierwszego miejsca państwu młodym.

Mężczyźni byli już trochę podchmieleni. Ci w sukmanach czy kamizelkach trzyczędnymi, szanujący strój i tradycję ludową, przycinali „marynarkowiczom” jarmarcznym. Z miejska przebrana „kawaleria” odpłacała „brązowym chamstwem” miłośnikom sukmany, ale szczęśliwie do bójki nie doszło.

Ruch w szalonym tańcu potęguje apetyt. Toteż dymiące misy rosółu z makaronem, kapusty z mięsem i kaszy spotkały się ze szturmem ożywionych gości.

Aż wreszcie nadszedł najważniejszy moment, „złoty gwóźdź” wiejskiego wesela - oczepiny. Dwie męzatki-swachny przydźwigały na środek izby dzieżę, wymościły ją poduszką i rozejrzały się za panną młodą. Ale Felka znikła, ulotniła się jak kamfora. Starszy drużba, obowiązany do znalezienia oblubienicy i osadzenia na dzieżowym tronie, szukał jej po wszystkich komórkach, na strychu, za drzwiami, nawet pod miotłą i wreszcie - wyciągnawszy tryumfalnie z piwnicy, przyniósł na rękach do izby i na dzieżę, mimo protestu, wtłoczył.

Odtąd skończyło się panowanie druhen. Pannę młodą otoczyły męzatki ze starościnałą na czele i zaśpiewały, skrobiąc marchewkę:

Nase druhenki pójdą słońsku drogu,
Bo już straciły swoję pannę młodu!
Nase druhenki odesły jak zmyte,
Bo już ich młoda zmienia się w kobitę!

Goście odpowiedzieli huraganem śmiechu. Dziewczęta pokazały plecy i skupiły się przy drzwiach. A męzatki zaczęły smętnie zawodzić:

Oj, chmielu, chmielu, ty rozbójniku!
Zwodziłeś panny na pastęwniku!
Oj, chmielu! Oj, niebożę!
Niechci Pan Bóg dopomoże,
Chmielu niebożę!

Siedząca na cenzurowanym Felka uciekła się do zwykłej w tym

wypadku samoobrony: do łez. A starościna zdjęła tymczasem z jej głowy symbol panieństwa, nie bacząc na głośny już płacz oblubienicy i - zamiast czepek - nałożyła jej rondel, a swachny zaśpiewały:

Oj, nieprawie ten czepeczek, nieprawie!
Połóżcie go w tyle pieca na ławie!

Wówczas na miejsce rondla poszło sitko, a po sitku - miska i tak dalej, ciągle przeplatane protestującym śpiewem swachen. Wreszcie doczekał się kolei cieniutki, koronkowy czepeczek, z kwiatem pomarańczy na wierzchu. Podczas tego uroczystego momentu starościna zadzwoniła w talerz, przypominając tym sposobem gościom obowiązek datku „na czepek”, a swachny zaśpiewały znowu:

Tseba jej dać na przejazdło,
Niech się przejży, cy jej ładno!
Za wianeczek, za ruciany,
Na czepeczek, na niciany,
Tseba jej dać, nie żałować!

Tseba jej dać na burstyny,
Żeby miała ładne syny...
Tseba jej dać na paciorki,
Zeby miała ładne córki!
Za wianeczek, za ruciany,
Na cepeczek, na niciany,
Tseba jej dać, nie żałować!

Tseba jej dać na garnusek,
Bo jej stłuce bębusek.
Tseba jej dać na sitko,
Tseba jej dać na wszystko!
Za wianeczek, za ruciany,
Na cepeczek, na niciany,
Tseba jej dać, nie żałować!

Tseba jej dać na wrzeciono!
Powie Franek: dobraś, żono!
Tseba jej dać na dzieżę,
Bo już se chłopa bieze!
Za wianeczek, za ruciany,
Na cepeczek, na niciany,
Tseba jej dać, nie żałować!

Na talerz obnoszony przez starościnę upadały z ochoczym brzękiem srebrne monety. Gdy uroczystość oczepin dobiegała końca i dano hasło do ponownych tańców, drużny łypiąc okiem ku starościnie, zaśpiewały mściwie:

Starościna kurę dała, by z starostą tańcowała.
Starościny kurę wzięni, starościna stoi w sieni!

Cha! Cha! Cha! Starościna na moście
Dała buzi staroście! Cha! Cha! Cha!

Ale nikt się nie obraził. Weselne uszczyпки wśród panien i mężatek były powodem jedynie śmiechu i radości.

Dobrze po północy goście pamiętni na roboczy dzień opuścili chatę Małysków z tym jednym warunkiem, że nazajutrz spotkają się wszyscy na poprawinach, czyli „słodkiej wódce”, jak obyczaj każe i dyktuje ochota.

Kamienne pole

Na drodze do Rudki Tomaszowskiej, niedaleko Łaszczówki, jest - niespełna - dwumorgowe pole zarzucone wielkimi kamieniami, co tam leżą, a leżą od wieków. A że, jak to powiadają - na miejscu nawet kamień obrasta, więc pośród nich pourastały mizerne, karłowate sosenki i krzaki, bardzo posępne i smutne.

Mówią ludzie, że na tym kamiennym polu straszy.

Niby nic takiego: coś - jakby wzdychało i mruczało... Może wiatr sośninkami trzęsie? Coś - jakby pukało w kamienie... Może dzięcioł z lasu nadfruwa i szuka owadów?... Ale rzeczywiście jest tam jakieś niewidzialne, a z lekka słyszalne życie, toteż wieczorem czy nocą nikt by koło tych kamieni nie przeszedł, bo nawet w dzień trochę się włosy na głowie podnoszą przechodniowi, który wie, że tutaj straszy.

Otóż mówią - od pradziadka do ojca i od syna do wnuka - że kiedyś, kiedyś (bo wszystkie dziwy były bardzo dawno) mieszkał w Łaszczówce jakiś człowiek osobliwy, co z daleka od sąsiadów żył, od nikogo nic nie potrzebował i nic nikomu od siebie nie dawał. Umiął wróżyć z chmur pogodę, z jakichś roślin dziwacznych urodzaj przepowiadał i bardzo dużo wiedział. Nikt go z mieszkańców wioski nie lubił, a wszyscy nazywali prorokiem.

I raz - obrodziła prorokowi ozimina, a była z wiosną taka gęsta i zielona, jak najpiękniej, najgęściej utkany dywan. Żaden z sąsiadów, ani z prawa, ani z lewa, ani z zachodu, ani ze wschodu nie miał takiej oziminy. Chlubił się też nią gospodarz-prorok i napatrzeć się nie mógł, a ku polom za swoją miedzą zerkał z tryumfem i coś pomrukiwał zadowolony.

Aż pewnego dnia wyszły chmury. Prorok spojrzął na niebo i zaniepokoił się. Innym gospodarzom zrobiło się trochę straszno o zasiewy, ale tylko on pobiegł na pole. Przecież prorokiem był, więc poznał ciężką chmurę gradową i przeląkł się katastrofy.

A tymczasem słońce zbladło i schowało się... poszedł górą zły powiew... Prorok stanął na środku swego pola i podniósł w niebo prawicę zwiniętą w pięść.

- Szeźnij! - zaczął mamrotać. - Przepadnij! Omiń moją najpiękniejszą oziminę. Skoro masz paść - padnij na pola cudze, na nędzne pola moich sąsiadów!

I naraz okropnie coś huknęło. Czy grzmot, czy piorun... Zrobiło się jeszcze ciemniej... Lunął z początku deszcz, a potem stało się coś potwornego. Zaczęły lecieć z nieba kamienie... Wielkie, nieziemskie, skalne potwory, razem z obrywającą się chmurą.

Gospodarze pochowali się do wnętrza swoich chałup. Nie myślał nikt o zasiewach, ani o własnych, ani o cudzych. Strach przed śmiercią nagłą przysłonił tamte, mniejsze niepokoje. Ludzie upadli na kolana w przerażeniu i modlitwie. Nędzne ich domki drżały od wstrząsów, deszcz jak zwiastun potopu lał strumienie wody z groźnym szumem. Na podwórkach i drogach płynęła wartka rzeka spadłego deszczu.

I wreszcie uciszyło się wszystko.

Kilkunastu chłopów wysunęło się za pierwszym przebłyskiem słońca na pole.

Obmyta z pyłu ozimina zieleniła się dookoła, połyskująca w słońcu, tylko... Co to takiego na polu proroka?... Jakież zwały?... Jakież okropności... Ani śladu zieleni jego przodującego zasiewu.

Chłopi ruszyli, gnani przestraczem i ciekawością na sprawdzenie dziwu.

- Proroku! Sąsiedzie! - wołali na przemiany. Nie odezwał się nikt.

Ludzie dobiegli do kamiennego pola... Spod wielkiego głazu widać było końce jego butów... Wgnieciony w zieloną miękką ruń, przykryty olbrzymim ciężarem, żadną siłą ludzką spod niego nie wydobyty - spoczywał on...

Sąsiedzi cofnęli się z kamiennego cmentarzyska w niemym przerażeniu. Zrobiło im się zimno ze zgrozy. Ale nie pożałował go nikt. Obcy był i daleki, choć tak blisko mieszkał... Pewno dlatego, że kochał tylko siebie, tylko swojej chluby pragnął, choćby ją osiągnąć miał po trupach cudzych... A już tak jest, że zimny nóż nienawiści zawsze zwraca się ostrzem w pierś nienawidzącego.

Legenda wiąże się z rezerwatem geologicznym „Piekiełko”, utworzonym w 1962 r. na obszarze 1,24 ha. Wśród karłowatych sosen znajduje się w nim 68 głazów z piaskowca krzemienego, z których największe mają do 10 m obwodu a są częściowo ukryte w ziemi. Stanowią pozostałość epoki lodowcowej.

Blaski i cienie Łęcznej

Jadą... jadą... jadą... z Podola, z Wołynia, z Ukrainy... Skrzypią osie, parszają konie, obracają się koła, wznosząc pył przydrożny... A za ludźmi - stada wołów, owiec, koni... Ryk, beczenie, chrzęst, pokrzykiwania pastuchów mieszają się w chóralny akord życia.

Na jarmark do Łęcznej, co się kiedyś Łuczniem nazywała. Bo miłościwy pan, król Stefan Batory, zezwolił na ośmiodniowe jarmarki w tym osiedlu.

Cieszą się mieszkańcy Łęcznej. Szykują noclegi w swych drewnianych domkach dla ściągających z daleka kupców. A w miasteczku ruch. Zjeżdżają komedianci, cyrkowcy, karuzelnicy, błazny... Karczmarze zaopatrują piwnice i spiżarnie... W zajazdach robi się ciasno od furmanek, bryk, wasągów...

Jarmark w Łęcznej.

Grajkowie grzmią od ucha. Na straganach barwią się i błyszczą cacka ozdobne do niewieścich strojów... W innym miejscu - kupcy prezentują łokciowizną różnorodną. Jaskrawią się aksamity i jedwabie... Mieniają się sukna połyskliwą gładkością. A opodal wybór koni, a gdzie indziej - wybór bydła... Rżenie, bek, muzyka, śmiech... Pieniądze przepływają z kieszeni do kieszeni jak ruchliwa, niepowstrzymana fala.

I tak przez osiem dni.

Czerwono... purpurowo... zachłannie... upalnie... To pożar w Łęcznej.

Wesoło trzaska ogień, trawiąc wyschnięte, drewniane domki... Wesoło skacze z jednego dachu na drugi... Miasto płonie! Języki ognia liżą już drewniany kościółek... Ludzie krzyczą tak strasznie... Nie dzielają radości ognia. Drażnią się z nim. Ustawili się w długim szeregu i z rąk do rąk podają konwie wody na walkę z pożarem. A drudzy zbiegają po wodę do Wieprza. Spoceni, zziębnięci, ostatkiem sił zmagają się z szalejącym, rozweselonym ogniem...

Ale przecież zmienił się wiatr... Uprzykrzyła się pożarowi zabawa... Swąd, pogorzeliśko, pustkowie sterczących kominów... Opadły zmęczone walką ręce... Część miasta ocalała.

Niespożyta jest ochota ludzka.

Pogorzelnicy - przez sąsiadów przygarnięci - ruszyli do odbudowy miasta. Ruszyli z myślą o jarmarkach, z myślą o powrocie dobrobytu. I pobudowali miasto inaczej. Stały domy mieszkalne, łączone wspólnym dachem ze stajniami, stały uszeregowane tak, aby utworzyć kilka rynków dla wygody handlu... Życie zaczęło się uśmiechać do pogorzelników... Jeszcze trochę, a kupcy ze Wschodu ożywią zamarłą Łęczną... rozebrani gwar, muzyka, śmiech...

Tymczasem przyszły złe wieści ze strony Kraśnika. W mieście wybuchła morowa zaraza przywleczona z Azji. Napadli na Kraśnik Mongołowie... Zrabowali mienie - zostawili mór... I ludzie marli - co drugi.

Potem zaraza przerzuciła się na Urzędów... Ale to było jeszcze daleko od Łęcznej. Wreszcie przybliżyło się niebezpieczeństwo... Mór zaatakował z lekka Lublin. A na dziewięć dni przed Bożym Narodzeniem umarł na dżumę pierwszy człowiek w Łęcznej.

- Może tylko on... Może tylko ten jeden... - uspokojali siebie mieszkańcy miasta.

Aż oto rozpoczął się potworny taniec śmierci. Pukała ona do każdego domu, rozszalała, zachłanna, nieubłagana, zapraszając w śmiertelny tan. Coraz to zanosił się przeciągłym dźwiękiem kościelny dzwonek, zwiastun zgaśnięcia jeszcze jednego życia. Zabrakło w mieście trumien... Zabrakło łez... Zabrakło żałobników, bo - marli... marli... marli...

W przeciągu kilku dni prawie cała ludność miasta przeniosła się na cmentarz. Był to rok 1693.

I w pewnym momencie Śmierć wytarła kosę, roześmiała się nad obfitością żniwa i - odeszła.

Daremnie czekała na nią garstka pozostałych przy życiu. Wigilijny stół zgromadził ich w żałobie i... w zdrowiu. Mór odszedł bezpowrotnie. Boża gwiazdka zajrzała w smutne oczy ludzi.

I stanął krzyż dębowy w mieście, na pamiątkę odwrócenia zarazy postawiony przez tych, którzy ocaleli.

Minęły lata. Łęczna zaczęła się zaludniać... Przywilej Stanisława Augusta wznowił jarmarki. I znów zaczęli zjeżdżać kupcy z Podola, Wołynia, Ukrainy, Zduńskiej Woli, z Ozorkowa, Pilicy, Łodzi... Znów nadciągnęli komedianci, cyrkowcy, karuzelnicy, muzykanci... Ryczało bydło, pobekiwały owce, rżały konie... Znów pełne były zajazdy i pełne kieszenie. Minęły klęski, minęło zło, przemielone na strasznym kole zdarzeń, a wróciło ohotne, odrodzone życie.

Ale mieszkańcy Łęcznej - na dziewięć dni przed Bożym Narodzeniem oddawali się zawsze postom i modlitwom, pamiętni na klęskę miasta i na tych, którzy wtedy odeszli.

Jak to było kiedyś w Trybunale Lubelskim?

Czy w tym samym miejscu stał stół z diabelską łapą w czasie pamiętnego sądu w roku 1637? - zadaje pytanie prawie każdy wycieczkowiec, odrywając przejęty wzrok od wypalonego śladu ręki na blacie stołu.

Naturalnie, że nie!

Inaczej było wtedy w Trybunale.

Po lewej stronie parteru - gdzie jest obecnie gabinet dentystyczny, mieściła się kordegarda dla kompanii garnizonu, stanowiącej straż trybunalską; „naprzeciwko wchodu był odwach, na którym stały karabiny i leżały bębny”. „Dalej - na dole - były izby więźniów okutych w kajdany, których używano do ochędóstwa gmachu i tarcia drzewa do opału”.

Do sali sądowej prowadziły schody kamienne, przez „przysionek długi i dwie izby ustępowe”. Należy zatem przypuszczać, że salą sądową były dwa pokoje, w których obecnie jest czytelnia, a może nawet i trzeci, mieszczący wypożyczalnię książek, ponieważ sala była „kilkuoknowa”. Pracownia i archiwum stanowiły zapewne te „pokoje ustępowe”, gdzie był słodki bufet dla ochłody i zaspokojenia pragnienia.

Na lewo od przysionka, „od frontu głównego”, gdzie jest obecnie kancelaria Wydziału Oświaty i pokój Oddziału Kultury i Sztuki, mieściła się kaplica trybunalska, z „ołtarzem i obrazem Matki Boskiej, ubranej w srebrną sukienkę”. Obraz ten znajduje się obecnie w kościele oo. Dominikanów.

Biała Góra

W tomaszowskim powiecie, koło wsi Majdan Górny, na lewo od drogi wiodącej do Podhorzec, jest uroczysko rozległe, nazwane Białą Górą, o którym krąży niezwykle podanie.

Było to za nieszczęśliwego panowania króla Jana Kazimierza, kiedy Szwedzi wybrali sobie Polskę za teren do grabieży i niecnej swawoli. Zza morza dalekiego szli ochotnie, jak na spacer, a sromotnie odparci spod Jasnej Góry, zwrócili krok niszczycielski ku Lubelszczyźnie i po niej rozpoczęli krwawą hasankę.

A którądy przeszli - zostawiali za sobą zgliszcza jako finał barbarzyńskiego napadu.

W Kraśniku okradli kościół i cmentarne groby, a miasto spalili... Pod Urzędowem siedzieli kilka tygodni, ryjąc okopy i wznosząc wały, istniejące dotąd, i wreszcie - obrabowane doszczętnie miasto puścili z dymem. Rzucili się wreszcie na Zamość, ale potężna twierdza odparła atak.

Na Białej Górze było wtedy zamożne miasto, murami warownymi obwiedzione, wodą opasane. Podobało się ono Szwedom, więc go otoczyli, przystępując do szturm, ale daremnie. Woda broniła przystępu, mury ani drgnęły pod armatnimi pociskami napastnika... Mieszkańcy bronili się dzielnie.

W rozochoconych do świeżego rabunku Szwedach paliła się zawziętość. Każdego zawiedzionego wieczoru mówili sobie; - Zdobędziemy jutro! - Każdy poranek i każdy dzień następnym zawodził na nowo.

A w murach miasta obrońcy i ludność przeżywali gorące chwile trwogi. Co będzie, gdy zabraknie żywności i amunicji? Gdzie się skryć? Jak ocalić życie? Jak długo wytrzymają oblegający? Omdlewały czułe serca matek... Trwożyły się dziewczęta... Mężczyźni byli chmurni i gotowi na wszystko.

A Szwedzi naradzali się:

- Dokuczajcie głód... Okolica obrabowana... Właściwie należałoby opuścić zajęte pozycje i szukać nowego żeru... Ale... jakże zostawić miasto nietknięte, bez pomsty za porażkę?

Każdego ranka zrywały się znad obleganego grodu wielokrotne stada gołębi, krążąc nad polami z radosnym trzepotem. Huk armat przestraszał je i płoszył, ale chwila ciszy gromadziła je na nowo. I Szwedom przysłała do głowy szatańska myśl.

Po krótkiej naradzie ukradli grochu, namoczyli go w okowicie zrabowanej w karczmie przydrożnej i zaczęli wabić ku sobie ośmielone stada gołębi.

A gdy łagodne, pozbawione żółci stworzenia okryły białą-szarą, ruchliwą płachtą szwedzkie wały, poczęstowano je nasączonym wódką przysmakiem, a potem, biorąc je w łagodne objęcie, przywiązano każdemu gołębiowi do ogona smolną drzazgę, a podpaliwszy - puszczono w powietrze, strasząc je w kierunku miasta.

I pofrunęły podniecone ptaki, a powiew wiatru rozpałał zarzewie i wydobywał morderczy płomień ze smolnego ładunku. W krótką chwilę potem ogniste latawce dopadły dachów i strzech własnego gniazda i omdlały z bólu, poparzone żarem palących się piór, zarażały płomieniem wyschnięte gonty i słomę. Zanim oblężeni zorientowali się w sytuacji - pożar oładnął szczyty domostw, a diabelsko rozradowani Szwedzi rozpoczęli kanonadę.

W obleganym mieście rozwarło się piekło. obrońcy zeszli z posterunków, rzucając się do walki z pożarem. Ale pryskanie wiadrami wody podniecało i rozszerzało ogień. Ludzie uciekali z domostw, szukając schronienia na płonącym rynku. Krzyki zgrozy i bólu rozdzierały powietrze ku mściwej radości przysłuchującego się wroga.

Wreszcie ucichło wszystko. Zwęglone ciała przemieniały się w popiół, tylko ogień szalał, sięgając do piwnic i lochów. Ale i jego panowanie dobiegło końca. Syci zemstą Szwedzi opuścili pozycję, posuwając się szlakiem Lubelszczyzny ku puławskiej i lubartowskiej ziemi, gdzie spalili miasto Wrzawę, grasowali w Michowie i Rudnie, aż ich pod Czemiernikami rozbiło polskie rycerstwo. Dotąd kościół czemiernicki chlubi się ornatami zdobnymi w piękne pasy, zdobyte na Szwedach.

Spalone przy udziale gołębi miasto nie odbudowało się więcej. Wygaśnięte i martwe, wydmuchane przez wiatr, zasypane piaskiem i ziemią, zamieniło się w uroczysko.

Ludzie pod wpływem opowiadań starców robią czasem wyprawę na Białą Górę, kopiąc ziemię dla doszukania się skarbów w lochach spalonego miasta, ale szpadle dzwonią tylko o przepalone cegły, nie uwieczając trudów żadną zdobyczą. Myślą sobie tylko, jak to czasem los używa za narzędzie zbrodni gołębia.

O lubelskich lochach

Mówią ludzie starzy o tajemniczych podziemiach lubelskich, rozchodzących się wielokilometrową ciągłością za miasto w kierunku wschodnim, północnym i zachodnim. Mówią, że w trzypiętrowej głębi pod miastem zbudowane są ze specjalnej cegły oblanej szklivem sklepione korytarze wysokości przeciętnego wzrostu człowieka... Mówią, że ciągną się one od Zamku i od Trybunału ku Firlejowskiej Dąbrowicy, ku Mełgwi - Podzamcze, ku Dysowi. Mówią, że pałac w Mełgwi zbudowany jest nad tymi lochami, a u wejścia do nich wisiła kłódka wielkości konewki. Niektórzy wciągają do tej sieci podziemnych przejść Lubartów i Zawieprzycę. Rzeczywiście, w parku lubartowskim, niedaleko pałacu, jest tajemnicza płyta żelazna, o której mówiono, że strzeże wejścia do lochów. Podobna płyta znajduje się w parku zawieprzyckim w pobliżu kaplicy... Mówią... że przy ulicy Archidiakońskiej nr 1 w Lublinie z bramy w lewo jest piwnica schodząca kondygnacjami na trzy piętra w głąb, a z niej prowadzi korytarz w kierunku Zamku... że w parku miejskim jest wejście do lochów...

Dwadzieścia dziewięć lat temu zdarzył się w Lublinie wypadek opisany w artykule M. Gozdawy w „Przeglądzie Lubelsko-Kresowym” z 1925 roku.

W dzielnicy żydowskiej na Starym Mieście pewien murarz poprawiał piwnicę. Przy tej robocie natrafił na otwór w ścianie, który go zaciekał. Musiał słyszeć zapewne o tajemniczych lochach, więc zaintrygowany wszedł w głąb i natrafiwszy na korytarz, zaczął się nim posuwać. Ale taka wędrówka, nawet ze światłem, nie jest ani łatwa, ani prosta. Loch rozgałęział się w różnych kierunkach. Mimo to murarz, podniecony ciekawością coraz bardziej, szedł i szedł przed siebie.

Trwało to długo. Widocznie stracił potem orientację. Może skręcił w któreś z rozgałęzień lochu i nie potrafił odnaleźć drogi powrotnej. Dość, że po paru dniach jego nieobecności ekspedycja złożona z kilku osób poszła w ślad za nim, ale zawróciła bez rezultatu, bo zabrakło jej odwagi do zagłębiania się w ten labirynt podziemny.

Minęło parę tygodni. Tymczasem żołnierze w zachodnich koszarach otrzymali rozkaz kopania dołów i przy tej robocie natrafili na otwór do lochów, a w nim - znaleźli trupa człowieka, który okazał się zaginionym murarzem.

Pod gmachem dominikańskim, u sióstr szarytek, jest podobno także korytarz zaczynający się otworem w głąb, w jednej z piwnic „obmurowany płytami kamiennymi” - jak pisze tenże M. Gozdawa. Kilkuosobowa ekspedycja po dość długiej wędrówce ujrzała otwór w górze, a podążwszy o piętro wyżej, znalazła się w krypcie o ścianach z malowidłami bizantyjskimi, wyobrażającymi Matkę Boską, świętych i aniołów. Kaplica ta znajduje się jakoby w podziemiach domów nr 13 lub nr 11 przy ulicy Złotej.

Mówią ludzie, że z Lublina wychodzi loch wiodący do Krakowa i Sandomierza. Mówią ludzie, że w lochach na Czwartku znajdują się groby założycieli Lublina. Dodają przy tym na ucho, że groby są ze złota i srebra.

Inżynier Teleżyński w referacie wygłoszonym w dniu 15 maja 1925 roku nadmienił, że „podziemne chodniki ciągną się od zamku na bardzo dalekie dystanse”. Przy tej

okazji zademonstrował „piastowską cegłę”, pochodzącą z takiego chodnika, nie uszkodzoną przez czas sześciuset lat.

Drobny wypadek zawalenia się piwnicy w Dysie i natrafienie przy tej sposobności na głębokie lochy sprowadził ekspedycję z Lublina (w 1925 roku), która stwierdziła, że z Dysa prowadzą średniowieczne lochy wiodące do Zamku lubelskiego.

Ustawiczne napady na Lublin i Lubelszczyznę Rusinów, Litwinów, Tatarów i Jaćwingów na pewno zrodziły samoobrończą ucieczkę mieszkańców z powierzchni ziemi z zapasami żywności i amunicji, i stąd wzięła początek budowa lochów i chodników na znacznej głębokości i znacznej przestrzeni. Oblężeni mogli drogą podziemną przedostawać się do innych miejscowości, dać znać o swoim losie, sprowadzić posiłki, ocalić życie. A ponieważ w latach dawnych nie było namiastek ani tandety, budowano korytarze z materiałów pierwszorzędnej jakości, mogących przetrwać liczne wieki.

Słuch o tych drogach podziemnych prawie zaginał, zmienił się raczej w legendę, a one trwają i proszą: „Wejdź, sprawdź, przekonaj się... Z legendy wysnuj rzeczywistość elektryzującą tajemniczość i poucz wnuków o praojcowych, samoobronczych wędrówkach”.

Jak dość często informuje prasa, przygotowywana jest, na wzór sandomierskiej i w innych miastach, trasa wycieczkowa przez zachowane lubelskie podziemia. Początek trasy ma się znajdować w podziemiach kamienicy Lubomelskich przy Rynku 8.